

METAMORFOZY.

OBRAZKI

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Tom II.



WILNO.

Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego.

1860.



M E T A M O R F O Z Y.



METAMORFOZY.

OBRAZKI

PRZEZ

J. J. Kraszewskiego.

In nova fert animus mutatas dicere
formas

Corpora.

P. OVIDII *Metamorphoseon. Lib. I.*

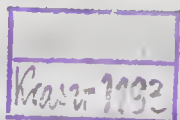
TOM II.



W I L N O.

Nakładem i Drukiem Józefa Zawadzkiego.

1859.



II nr inu. - 1194

Pozwolono drukować z obowiązkiem złożenia w Komitecie
Cenzury prawem oznaczonej liczby exemplarzy. Wilno, 18
Maja 1859 roku.

Cenzor, PAWEŁ KUKOLNIK.



ZEBRAŁO się tedy na jeden z tych wieczorów pamiętnych, których wspomnienie dziś jeszcze nie raz przychodzi w życiu przywiedzione jakąś drobną okolicznością, dymem fajki, szmerem czyjegoś głosu, słowem, które tam wyrzeźzone kiedyś zostało.

Wszysey byli w tém usposobieniu ciepłym, z tą ochotą do życia i nadzieją w sercu, z któremi wesoło na świat się pogląda, Teofil nawet poczynął wychodzić z odrętwienia, choć go zrazu ta napaść zbiorowa kolegów bardzo pomieszała, Serapion poczeiwy uśmiechał się przechadzając po izbie wielkimi kroki wybrawszy sobie ścieżkę, na której by jak najmniéj potraçał i spotykał ludzi.

Longin nsadowiwszy się w jak najlepszym miejscu, opanowawszy jak najczyściejszy cybuch i porwawszy pierwszą nalaną szklankę herbaty, zabierał się czynić postrzeżenia nad otaczającym go towarzystwem, oko jego drgało szyderstwem.

Ciepło jakoś było, zacisznie, wygodnie, ogień świecący w piecyku zastępował komin, który wieczorne posiedzenia tak tajemniezo oświeca i fantastycznie maluje, że wziąłbyś go za najpotrzebniejszego z gości.

Pomilezano chwilę, w tém Albin podparty na łokciu westchnął, a cichy ten głos pragnienia jakiegoś i tęsknoty, który się odbił w duszy wielu, wywołał zaraz uśmiech na usta Baltazara i Longina— prawie razem zawołali szydersko.

— Gdzież to posłałeś westchnienie?

— Dokąd? niepowiem! I z tego byście się może śmiali! Jacyście wy wszyscy szczęśliwi! jacy szczęśliwi, nigdy nieopuszcza was wesołość, nigdy i nie, nawet litość, niepowstrzyma uśmiechu!

— Gdy twym ndziałem Werterze, płacz i narzekanie! .

— Jednakże, przerwał Teofil, ręczę, że Al-

bin swojego boleśnego westchnienia na ich rozkoszny śmiech by niepomieniał.

— O! to pewna!

— Nie mów więc żeśmy z nim szczęśliwi!

— Co tam szczęście, bałamuctwo, rzekł Longin, ale myśmy ludzic, gdy pan Albin jest dzieckiem tylko.

Albin spłonął cały, dotknęło go to.

— Już dzieckiem chyba i umrę! dodał cicho.

— Bardzo być może, odparł Longin.

— Wam wszystkim uśmiecha się życie, kończył pierwszy, mnie ono już poi goryczą, a tak nie wiele by mi do szczęścia potrzeba!

— Chatki i serca! rzekł Baltazar... stare brednie!

— Filemon jest, braknie tylko Baucis!

— Śmiecie się, pozwalam, ale któż z was nie ma swojego ukochanego marzenia? Kto z was nie karmi jakiejś nadziei? Studentami potajemnie hodowaliście jaszczurki, myszki i szczygły... był to symbol i przepowiednia tych fantazyj, które starsi żywić mieliśmy, jak owc jaszczurki i myszy, kryjąc je za pazuchę od profesora. Każdy

ma te stworzeńko u piersi gdzieś ukryte, którego się wstydzi a kocha.

—Tylko, że jedni kochają je na mięso, a drudzy dla pierza, rzekł Baltazar... ja się od razu przyznaję, że karmię wołu na połędwicę.

—Ale, przerwał żywo Albin, czy ci twój sztukamięsy na całe wystarczy życie nie wiész i nie ręcz, panie Baltazarze... Gdy zjesz, gdy się napijesz, gdy odpoczniesz, przyjdzie tęsknota, nieuleczona choroba, od której jak od ospy nikt nie jest wolen, staniesz się niespokojny, nie wiedząc czego ci braknie, i syty a nie pragnący boleć będziesz musiał... za to, żeś tylko połędwicę karmił.

—Mylisz się kochany Albinku, wonny fijołku, dziecię moje, przemówił Baltazar— jam już łysawy i stary, znam życie i niewymagam od niego wiele; zimno sobie patrzę na nie, nie roję, idę dalej powoli, ostygły, okulawiały może, ale pewnym krokiem...

—Tego ja ci nie zazdroszczę, rzekł Albin, bo to według mnie choroba, kalcetwo, największe z nieszczęść, zastygnać.

Baltazar się rozśmiał.

— Tak jest, dodał pierwszy, są tacy ludzie, ale to nie jest idealny typ człowieka jakim on być powinien. Świat jakim ja go marzę dla was i dla siebie składać by się powinien z ludzi miłością przejętych, zawsze gorących, zawsze dla brata gotowych, związanych jedną myślą wspólną, a oczy podnoszących ku niebu. Co mi ziemia i życie, bez poezji? bez miłości? bez ideałów?

— A gdybym ja ci powiedział, że wiara w ideał to także kalectwo i gorączka?

— Pozwał bym cię przed sąd świata i wieków, zawołał Albin— ludzie jak ty panie Baltazarze nie udają ciepłych, nie muszą czasem odegrywać roli zapału i zmyślać, że poezję kochają i rozumieją? Nie jest-li to dowód, że się wstydzą swojej impotencyi.

— Jaki z niego dialektyk, rzekł ruszając głowę Longin, ot patrzajcie! zbił w puch Baltazara.

Stary pogładził się po łysinie i uśmiechnął dziwnie, z wyrazem litości.

— Ja, rzekł, nigdy nie ndaję— wolę być kałką niż drewnianą podszukowywać się nogą.

Ale odmalujże nam swój świat, dodał powoli—prosiemy, będzie to zapewne naśladowanie Gesnerowskiej sielanki, ale i to ma swoją wartość.

—Mój świat, rzekł Albin... mój świat to świat Boży, jakim go chciał Pan Bóg, gdyby go ludzie nie popsuli... Pokój, zgoda... miłość, swoboda... cisza...

—Pierwszy nonsens, przypisujesz Panu Bogu idylliczne usposobienia... a burze, a choroby, a klęski... czyż ich nie ma koniecznych i nieuchronnych?

—Na burze, choroby i klęski nie ma ratunku w naturze, ale jest lekarstwo w sercach ludzkich. Co burze zwałą to ręce braterskie odbudować powinny, rany goić, smutki pocieszać... nie jest-że obowiązkiem i rozkoszą? Zresztą ja nie wymagam od świata, żeby był rajem, ale może być przedsionkiem niebios, gdy dziś jest to gielda wrzawliwa, wśród której niespokojnemi oczyma pożerają się nie dowierzając sobie ci, co się kochać i wspierać powinni.

Wiem, że świata nie przerobię, ale sobie mój utworzę wedle serca.

— Każdy z nas nosim w sobie taki ideał, zawołał Teofil— a wicie co? jakby to było zabawnie i miło, gdybyśmy się sobie choć raz z marzeń naszych wypowiadali. Jesteśmy nie źle usposobieni, Cymbuś poda fajki i herbatę, Albin, który już swój obraz naskłicował, rozpocznie i zagai to posiedzenie.

Poklasnęli wszyscy, tylko Serapion zaprotestował, chociaż ożywiony był więcej niż zwykle, ale przywykły do skrywania się w sobie pokornie, przelął się widząc zmuszony do wypowiadania najtajniejszych myśli.

— Godziż się tego wymagać? rzekł gorąco— możeż się każdy na to zdobyć, żeby skarby swe dać na poniewierkę?

— Większość głosów! wotujemy! krzyknął Teofil stukając pięścią o stół.

— Większość głosów! powtórzono... *minoritas* poddać się musi.

Ręce niemal wszystkich i głosy podniosły się potakując myśli Teofila, a jeden biedny Serapion pozostał ze swą protestacją.

— Ja nie mam, rzekł, ani snu, ani marzenia, ani nadziei, przyjmę co Bóg zeszele...

— Opowiesz więc nam, co byś życzył, żeby ci Bóg zesłał... i kwita... Większość stanowi, choć bywa głupią i niesprawiedliwą... wszyscy tego chcą, nikt się wylaamywać nie ma prawa... tak na świecie! tak!

Serapion spuścił głowę...

Albin więc zaczął piérwszy, i zasiadłszy w kątku, tak marzył.

— Wystawcie sobie naprzód nasz domek w zielonym ogródku, na wzgórk, otoczony kwieciami i krzewami...

— A zimą? spytał Longin.

— Zimą pokryty białym rąbkiem śniegu i srebrzystymi, brylantowymi szronami... Ale nie przerywajcie...

— Niech nikt nie przerywa! ozwały się kilka głosów... eicho! dajcie mu marzyć na jawie...

— Słowik śpiewa w krzakach bzu i jażminu, lipy stare szumią kołysząc się powoli, na polach słyhać miłszą jeszcze piosenkę ludzi, przy pracy swobodnej pocieszających się starcami

śpięwy wyuczonymi od prababek; w dole młynszumi i luezy, na drodze turkoczą wozy włościan... od wsi zalatuje nuciennie dzieci, które piastunki pocieszają nim matki powrócą... nie ma i jednej nóty sprzecznej w tym chórze wesela i pokoja. Koło łóża chorych jest miłosierdzie co czuwa, jest ręka bratnia co otula, a cierpiący wstrzymuje skargę, aby nią nie zrazić liściowego stróża swojego.

Widzicie jak tu pięknie i wesoło!

Mógłbym pomyśleć o własnem szczęściu, gdybym wprzód o tle, na którém się ono rozwinię, nie dumał? cóż mi warto moje, gdy na cudze łązy, potrzebując uśmiechu, patrzeć będę zmuszony? Naprzód więc przerabiam świat i snuję utopiję, nie na teoryi jakiejś, ale na jedném słowie:— kochajcie się jak bracia.

Znikają przedemną różnice stanu, urodzeniem, pochodzenia, intelligencyi— wszyseksiny bracia i każdy wprzód niż o sobie myśli o drugich, to jedyny środek dorobienia się szczęścia na ziemi nie osadzając go na egoizmie. Nie potrzebuję już czuwać nad sobą, bo wszyseks troszczą się o mnie, lecę ku drugim i koję ich smutek, a

czyniąc to, o swoim zapominam... ktoś mi dłoń ciepłą przyłoży do serca i pierś moją zagoi.

Naprzód więc zwracam się do tego ludu, który od setin lat jak mól i osad na dnie społeczném leżąc, jęczy skazany na ciemnotę i barbarzyństwo. Nie niosę mu nauk wysokich ani wymagam by każdy z tych co za plugiem chodzą, stał się mądreem, pragnę go uczynić pocziwym, chcę by pojął życie i cel jego. Na to więc ustanawiam szkoły chrześcijańskie, gdzie nie wszyscy mogą się uczyć czytać, ale każdy musi się nauczyć być człowiekiem i bratem, gdzie mu wpoją miłość, gdzie zgaszą niechęć, gdzie wytępią zazdrość, gdzie im pokażą, że miennie i grosz nie stanowią szczęścia chociaż się nim zdaleka wydają. W tych szkołkach osadzam ludzi skromnych, łagodnych, cierpliwych, cohy natętniono, namaszezono, gorąco słowem nie literą rawraicali pogan...

Chodzi tu o drugi chrzest w kilkaset lat po pierwszym; ów pierwotny, połączył kraj nasz ze światem chrześcijańskim imieniem, ten go zjednoczy istotą z ludzkością, z czeladzią Bożą...

U ludu nie ma wiary— jest obawa kar, jest

ciemne przyszłego życia pojęcie, jest zabobonny przestrah jakiś, jest pogańska zasada, w którą wszczepiono chrześcijańską gałązkę i zeschła nie podżywiana.

Potrzeba apostołów co by tych mniemanych chrześcijan nawrócili na nowo.

Mniejsza, jeszcze raz powtarzam, o naukę czytania i pisania, potrzeba naprzód wyuczyć myśleć, a to, sądzę, otrzymać się może żywém słowem i przykładem lepiej niż otwarciem im drogi do książek, których nierozumiejąc, popsuć się z nich mogą.

Jak troskliwa matka małemu pisklęciu sama wprzód wybiera i przeżuwa i w dzióbek wkłada pokarm, bo wie, że głodne strulo by się, rzucając na pastwę szkodliwą.

Zbiéram więc apostołów, ludzi dobrej woli i poświęcenia i rozpoczynam missyą generalną po świecie dla nawrócenia pogan, bośmy my wszyscy poganie! Tę missyą odprawiać będą jak uczeniowie Chrystusowi, nie w kościele, nie w świątyniach, ani w saméj szkole, ale wszędzie i ciągle każąc Królestwo Boże, po rynkach, w po-

lach, nad brzegami stawów, przy pracy, przy wieczorném ognisku, szczepiąc miłość i zasadzając miłosierdzie.

Rozdajemy ludziom chaty i pól po troszę, zachęcając ich do nabycia więcej pracą, do ładu, umiarkowania, zgody. Nie marzę ja o żadnej równości, bo by ta była największą tyraniją, ale o wydziale ludziom wedle ich potrzeb i zdolności. Konrad jest utopistą, żeby ludzi chciał pod jedną miarą mieć wszystkich, ja nie sądzę, by to co dla mnie jest dostatecznóm, drugiemu starczyło, i buduję mój świat na harmonii, nie na monotonném *unisono*.

Jeden z nas potrzebuje ruchu, pielgrzymki, waleśania się, nowości; za cóż go mamy przykuwać do roli i wiązać niewolą posiadłości, której nie chce i nie żąda? Drugi wszystko odda za mały spokojny kątek ocieniony, gdzieby życie przemarzyl; inny chce miasta i gwaru, ten musi zbierać i gromadzić, ów potrzebuje rozkazywać, tamten podlegać, słuchać i powodować się.

Na tle tych potrzeb natury ludzkiej buduję społeczność, w której nie może być równości,

bo jój nie ma nigdzie na świecie. Nie niesprawiedliwszego jak jeden wydział wszystkim... u stołu i w życiu ten je za dwóch, tamten nasyca się odrobiną. Nie można porównać nas inaczej jak miłością braterską, któraby zgładziła co w naturze ludzkiej jest dziwnie nierównym i różnym.

Władze, namiętności, potrzeby, pragnienia, wszystko nas dzieli, miłość tylko jednoczy... miłość tłumaczy, że ani jednego pragnąć, ani się jedynym wszysej zadowolić możemy.

W moim świecie zupełną swobodą obdarzeni są ludzie, byle nie przestąpili granicy, którą zakreśliła braterstwo i miłość. Jedną tylko wypędzam nienawiść zjadłą i niechęć niekczemną.

! Stoi tedy szkółka apostołska, a z niej wychodzą mi ludzie, którym świat uśmiechać się musi, bo będą mieli serca otwarte, które umysłem pokierują dając mu natchnienie. Nauczyciel-apostoł i kapłan, stróż i pocieszyciel, kobieta matka, oto są środki, któremi wasz świat na mój świat przetwarzam. Nigdzie nie przypuszczam egoizmu, bogaty musi pracować głową dla uboższego, ubogi pocieszać tych, co z nim cierpią,

a że miłosierdzie jak wielką szatę rozścielałam nad światem moim, nie boję się dlań nędzy. Miłość otworzy szpiehlerze, nakarmi i napoi, któżby jadł patrząc na głodnych?

Każdy ma swój kątek większy lub mniejszy, ma się gdzie przytulić, bo w imię Syna Człowieczego, gdyby swojego nie miał, do każdych drzwi zapuka i znajdzie schronienie. Pielgrzymują śpiwając ci co miejscea zagrzać nie mogą... w szkołce kształcą się pokolenia nowe, kapłan je zagrzewa do pracy i wytrwania, nikt nikogo nie odpycha, nikt wyższym nad drugiego się nie mieni.

Skalę wielkości ludzkiej zmieniam zupełnie... otaczam szacunkiem tych, co go są warci, daję stér moralny ubogim Cyneynatom, im cześć, i pojmuję, że w moim świecie przyjdzie do tego, że bogaty skłoni głowę przed bogatszym, od siebie czcig powszeczną i poważaniem ludzi.

Znika mi niechęć klas ku sobie, bo klas już nie ma, nie ma zapory, wszyscy mogą wszystko, i idą gdzie chcą byle siły po temu. Od roli jedni przechodzą do handlu drudzy na świecznik

nanli, a od nanli wracają do roli i pługą; do zagona i sochy... Wszędzie zdolność toruje drogi byle ją ubłogosławiła miłość i uświęciła pokora!

Otóż jeszcze enota, którą szczepić zamyslałam, którą krzewić potrzeba, na której jak na miłości bratniej nowy świat buduję.

Pokora bowiem jest nieczym innym jedno miłością braterską w innej szacie, w jednym ze swych objawów czynnych.

Można li być pokornym bez miłości, albo kochać prawdziwie nie mając w sercu pokory? Wszystkie enoty są miłością, tak jak wszystkie zmysły jednym zmysłem, a raczej narzędziami jednego. Dajcie mi jaką chcecie enotę, a okażę wam, że nie płynie żadna, jedno z tego źródła.

W świecie moim pokora jest wielkości cechą, dumę wypędzamy za drzwi i stawim na straży anioła z mieczem ognistym, aby jej więcej do nas nie puszczał.

Ażeby nikt nikogo upokorzyć nie mógł, dosyć jest wszystkim mieć pokorę... enota ta podnosi, uzaenia, rozbraja nieprzyjaciela, a zbroi wojownika.

Jakiż teraz śliczny świat choć na oko nie wiele w nim zmienilem, gwałtownie z posad go nie wstrząsnę, ani wywracam bym z ruin budował... wprowadzam tylko gościa, który jedna i godzi wszystkich i pokój różeczką oliwną zwiastuje.

Bogatym nie odbieram mienia. Ubogim daję tylko litość i pracę, opiekę i pociechę wiary, nie strącam z posad wysokich tych, co na nich stoją, nie wydziedziczam spadkobierców wiekowych,— ale wśród tych żywiołów niechętnych i nieprzyjaźnych, wlewam nowy i przeistaczający. Wnet się wszystko przemienia... Pomyślmy tylko cohy było, gdyby wszyscy stali się chrześcijanami nie z imienia jak dziś są, ale rzeczą i istotą samą... Świat wyglądał by na nowe całkiem zjawisko: otwierają się drzwi, a przez nie zdrada nie wlijdzie, bo jej nie ma, wyciągają zewsząd ręce, nikt się zbytecznie o jutro nie troska, nikt nie umiera z głodu i pragnienia, sam widok tej nowej Jeruzalem, tej *Civitatis Dei* już napelnia szczęściem... życie staje się modlitwą!

Zmażmy tylko niechęć, zazdrość, samolub-

stwo, a raczej to jedno ostatnie, a cały się świat przemieni. Powiecie mi, że to niepodobienstwo, bo człowiek słaby, ale ja wiem to także— pragnę tylko by uczynił wiele może, żeby mu społeczność pomogła, i żeby słowo Boże ciałem i czynem stało się przecie.

Na to naprzód nie więcej nie trzeba, tylko, żebyśmy się zaczęli kochać— kochamy i dziś, ale bardzo oszczędnie; tych których znamy, ku którym serce ciągnie, co są nam potrzebni, z nałogu, z obowiązku, z powinności,— a tu otworzyć potrzeba cały świat wielką miłością braterską, i zrozumieć, co znaczy bliźni!

Dla nas dziś bliźnim nie jest występny, choć i ten nim być powinien, nie jest nim żyd, bo żyd, tatar, bo ma nos plaskaty, chłop, bo głupi, pan, bo arystokrata jak mówicie...

Wyłączamy tyle, że w końcu nie zostaje nam na bliźnich, chyba rodzony brat i matka... reszta ani nas obchodzi, ani się liczy. Chodźmy koło ludzi z niedowierzaniem, obawą, a co gorzej ze strachem o nas samych i zbyt niem a podłym uniżeniem tam, gdzie śmiało a serdeczne słowo nawrócić by mogło.

Tonie i ginie ktoś w oczach naszych, moralnie się topi, nikt mu słowa nie powie, bo się lęka. Z tchórzostwa więc nie spełniamy obowiązku. Występnemu zapominamy występku i złego przykładu, znów z bojaźni obraży; a gdybyśmy w duchu miłości nie dla upokorzenia go odezwali się doń— ktoś wie czybyśmy nie pociągęli go na inną drogę?

Któs inaczej poszedł, inaczej pomyślał od nas, zbłądził i wstyda się zdrady, my go wypychamy na wieki, a gdy chce powrócić drzwi mu zamykamy... jest-li to dobrze?

Ja tedy pojmuję łagodne i święte apostołstwo nienastanne i ciągłą ofiarę z siebie dla prawdy. Niech nikt nigdy nie pokładnie fałszowi i nie przebaczy złemu, a złe zniknie.

Nie żądam kary— owszem za całą karę uważam oburzenie społeczności, lecz trzeba by społeczność miała na to siłę i odwagę, w miłości chrześcijańskiej je czerpiąc.

Tak przegrobiwszy świat, wszystkie stany równam uznaniem ich użyteczności, a ludzi za sługą cnoty—kto więcęj kocha i czyli, ten więc-

kszy, znikają wnet różnice, padają zapory— i w wielkim uścisku łączymy się wszyscy. Kmiotek co dał nbogiemu grosz wdowi i pan co poświęcił pół majątku dla dobra ogółu stają u mnie w jednym rzędzie, ani się jeden wstydzi drugiego, ani go odpycha. Szanuję pamięć ojców, ale chcę po synach, aby ją nosili godnie— gdy syn niedorówna leżącemu w trumnie rodzicowi, cóż mi po wielkim trupie, którego cień za karłem chodzi?

— Ale ba! bardzo bo już daleko zajechałeś, rzekł Baltazar, który się z nśmiechem przysłuchiwał— a nie widzimy dotąd co ty robisz na tym świecie, który tak sobie pięknie stworzyłeś.

— Ja? kocham, śpię, marzę i trochę pracuję... abym mojej miłości dla Anny nie pożarł od razu. Rachuję się z mojem szczęściem, aby na wieńce całego życia mi stało, przeplatam go pracą umyślną, poezją, ideałem, koleami rzeczywistości, liśmi dni powszednich, i tak powoli starzeję.

Dla mnie nie ma szczęścia bez niej— jest jedno serce i jedna twarz stworzona dla mnie,

których mi potrzeba jak powietrza i słońca. We troje z matką siadamy tam w tym domku okwieconym, który widzę przed oczyma duszy, do stołu szczęśliwości... Anusi oczy uśmiechają mi się, ściskam jej rączkę drobną, drżącą w mojej dłoni... chodzimy, śpiewamy, nasycamy się muzyką, wstajemy witać malowany przez Boga obraz wschodu słońca, czytamy poetów, zbliżamy się do wioski i jej mieszkańców, a gdy po dniu pracy wieczór przyjdzie, spożywamy oparcia o siebie z uśmiechem pokoju.

A! tylko mnie to zasmuca, że życie tak krótkie!

— A twoja utopja tak dziwnie do starć Gesniera sielanki podobna! przerwał ziewając Baltazar— wysączyłeś z niej wszystko co jest życiem prawdziwem, a zbudowałeś ją na widmach i w chmurach... Nie chcę ci zatruwać przyszłości, ale gotujesz sobie morze zawodów, z tego stanowiska na świat się zapatrując.

— Wypowiadałem wam pragnienie duszy, rzekł Albin, aie ziści się li ono— nie wiem i wątpię; to wiem i zdaje mi się, że rzeczyć potrafię za siebie, że we mnie nie nienawiści ludzi zaszcze-

pieć nie potrafi, wiary w nich nie odejmie — że ich, zdradzony nawet stokroć kochać nie przestanę.

Baltazar głośniej niż wprzód pozicwnął.

— Sielanki! rzekł, sielanki! śmiech mówić! takie rzeczy... ale jakżeś ty jeszcze młody?

— Mam dziewiętnasty rok i tego się nie wstydzę, rzekł Albin z zapalem, matka dla wyprobowania mnie każe sześć lat czekać na Annę... będę czekał, a wówczas!! a! o mojem szczęściu nie chcę nawet marzyć, bośmy my nie ci koheankowie pospolici, których pociąga chwilowe pragnienie, osamotnienie, namiętność — ja ją koeham jak brata i towarzysza! jedne mamy myśli i pojęcia... któżby mnie tak zrozmiał, kto myśl moją dopowie mi jak ona i jak ona odgadnie? kto mnie pragnie świata i ludzi, byle nas było dwoje razem zawsze, zawsze z sobą!!!

— Zawsze, to znaczy od lat dwódziestu do dwódziestu siedmiu, maximum trzydziestu — przerwał miłościwy Baltazar — a! jakżeś ty młody!

— Z téj choroby nigdy się nie pragnę uleczyć, zawołał Albin i począł deklamować:

Młodości. ty nad poziomy...

— Gdyby się młodość nie starzała i nie kończyła nigdy, gdybyśmy nią otoczeni byli, nie mówię, dokończył pierwszy, ale na nieszczęście nie jest to życie, jest to jego pałacowy przedsiönek; dalej roisz o salonach, a wchodzisz do chaty lub w grnzowiska. Prawda, uroczą i czarowną jest młodość ale to tylko gorączka jak przy wyrzynaniu zębów.

— Nie! reszta życia jest śmiercią powolną, a ona życiem, rzekł Albin w zapale — To treść żywota, to wyskok jego, to kwiat jasny! Dla tego młodość daje nam przeczucia wszelkiego dobra i piękna, dla tegośmy lepsi w młodości, dla tego szczęśliwy kto ją przedłużył i nie postarzał się sercem... a pewien jestem, że kto nie zechce ten nie zgrzybieje...

— I pozostanie pijanym wśród trzeźwych! zakończył Baltazar — *sobrius inter ebrios*, śliczna rzecz, ale pijany wśród trzeźwych nie tak wesoła!

— Ależ to upojenie święte, to szal wieszcy i proroczy, to gorączka natchniona...

W tém Cymbnś głośno krzyknął sam do siebie, splaskując rękami.

— Ot i samowarek zgasł!

Wszyscy się rozśmieli, a Baltazar dodał:

— I młodość zgasła! niech-że się kto drugi spowiada, bo Albinowskich poezyj mamy już dosyć.

— Na Cyrylla kolej!

— Jakto? na mnie? ja? ale cóż wy chcecie że-
bym wam powiedział?

— Nie ma wyjątków dla nikogo, reguła ogólna, mów co ci ślina do gęby przyniesie jak Albin, a powiedzieć nam coś musisz.

— Wy wiecie, że ja wiele nie roję, rzekł powoli, i coż w tém ciekawego?

— No to mów nie ciekawe... ciekawiśmy nieciekawego.

Błagającym wzrokiem potoczył po towarzyszach Cyryll, ale w nich nie było litości, i po chwili milezenia skazany, tak z kolei pozać musiał.

— Prawdziwie nie wiem co bym wam mógł po-

wiedzieć o sobie? wysoko nie patrzę, nie marzę górnio, żądania moje skromne, a cel jasny przedemną. Ani świata, ani ludzkości przerabiać nie myślę, mam jedno pragnienie nanki, to cel mój i *meta laborum*.

Albin wam wyśpiewał za Horacyuszem moim ulubionym poetą tę endną piosenkę:

Hoc erat in votis: modus agri non ita magnus
Hortus ubi, et tecto vicinus jugis, aquae fons,
Et paulum silvae super his foret
. Nihil amplius oro
(*Liber II. Satira VI.*)

Cóż ja po nim wymyśleć potrafię?

Dla siebie tylko powtórzyłbym znouu z Horacyuszem:

Beatus ille qui procul negotiis.

Ale czyż mam o sobie myśleć tylko? Powiedziałbym, że chcę także małego domku pod słomianą strzechą, wiejskiego spokoju i ciszy wśród której bym pracował, ucył się, myślał.

Jam nie człowiek czynnego życia, ale spokojny mól książkowy;— nauka i żywot z umartwieniami po nad chaosem namiętności waszych, w ci-

chć i jednostajnej atmosferze pokoju, oto ideał dla mnie.

Zapach starzej książki to dla mnie woń fijołków, widok nieobojętnego Elzewira, to ideał, piękne schwycenie Hallerowskiego druku, rzadkiego Inkunabulu, to całe szczęście, którem ja uczuć zdolny. Więc gdybym sam mógł sobie urządzić życie, przyczepił bym je do jakiej wielkiej biblioteki dobrze ogrzanej, ntrzymywanej w porządku, nie nazbyt uczęszczanej, w której bym mógł być panem i wszechmocnym władcą, przedstawując, porządkując, studiując wydania, porównywając teksty, nasycając się tém co jest w księgach i zewnętrznym nawet ksiąg widokiem..., ku któremu ciągnie mnie jakaś namiętność.

Miałbym pokoik mały do pracy, jasny, czyściutki, ogrzany i na rygiel zamknięty dla profanów, ogródek zielony pod oknami, wiernego sługę, któryby za mnie myślał o jedzeniu i picu, o wszelkich potrzebach życia, a wyrzekł się marni sprzątania i układania,— i przedsięwziął sam jakieś dzieło potężne, benedyktyńskie, coś w ro-

dzaju Bayla... , którego by erndycya, krytyka i dowcipu trochę, tło stanowiły.

Nauka wysusza, powiadają próżniacy, ale to po-
twarz! Jest nanka i nauka, i między narodem
uczonych są głupcy jak wszędzie. Myli się kto
sądzi, że pióro tylko geniusz i talent trzymają,
dziwne i niepojęte okoliczności często na tę dro-
gę zapędzają ludzi, którzyby na żadnej innej ani
chleba kawałka, ani znaczenia najmniejszego dojść
nie mogli. Trochę wprawy, śmiałości, wytrwa-
nia, nieczułości na poiski i zarozumienia choć
na oko i dla drugich— otóż i literat gotowy, choć-
by krzty nie miał geniuszu, a nawet kropki ta-
lentu! Będzie to zbieracz i komentator, kompi-
lator i skracacz, naśladowca niezgrabny, wreszcie
ruzprawiacz krzykliwy, ale któż mu pisać za-
broui?

Prawdziwie uczonych, a zarazem życiem i za-
palem obdarzonych ludzi jest bardzo niewiele,
policzyć ich można w dziejach literatury... za to
chmurą są pracowników bez iskry natchnienia: pi-
szą tylko, bo by nie innego robić nie potrafili.

Uczoność jak ja ją pojmuję, ma zarazem świa-
domość, tego co gdzie pomyślano i uczyniono,

niezbędną by pójść dalej, i własny sąd o rzeczy—sąd niezawisły, głęboki, ożywczy.

Jakkolwiek uczyniono wiele i bardzo wiele, stokroć więcej pozostało do zrobienia; cały ten gmach wiedzy ludzkiej w największym rozstroju i nieładzie. Leżą w nim obok najcenniejszych zabytków, najpodlejsze rupiecie, opylone i zapomniane skarby i wysoko oszacowane lichoty. Drogi wielkie pozasypywano gruzem, manowcami porobiono ścieżki, poobalano wschody, a poprzystawiano chwiejące się drabiny... nigdzie porządku i logiki.

Nie idzie tu o formę tylko, klasyfikacyę i jakiś dowolny porządek, ale o ułatwienie nauki i badania, które dziś w tym lesie jest błędnem na oślep krążeniem.

Gdybym więc tworzył utopiją dla siebie—marzyłbym sobie dziurkę przy bibliotece, celę podobną do owęj szczura anachorety w holenderskim sérze... Czegożby mi więcej potrzeba nad spokój i książki? życia nie pragnę, wolę na nie patrzeć zdaleka niż w cyrku pójść w zapasy. Gdybym snuł utopiją użyteczności mojej dla ludzi, chciałbym być wielkim reformatorem nauki,

wskazać i przetrzebić nowe drogi, oczyścić stare, pogodzić świat z nauką, a naukę przyswoić światu, wykształcić smak ogółu... poznać wreście czy wielka zagadka dzisiejsza postępu, jest istotnie myślą nową, czy pod wielkim słowem czezą mrzonką... idziem-li dokąd, czy jak w zamieci kołujemy daremnie?

Na każdój stopie jest tu coś do odkrycia.... chciałbym, przyznając, odkryć coś użytecznego, wielkiego, płodnego w rezultata, ale upokorzony faktami zeznać muszę, że wszystkie odkrycia czynią się przypadkiem—niestety! a kto goni za szczęśliwym przypadkiem, ten się z nim prawie nie spotka!

Zresztą jam tylko nieznaczne kółko w tój olbrzymiej nauk machinie i jedno z najpośledniejszych... Chciałem wszystkiego, za karę nie mi przeznaczonóm nie będzie, i polyhistorem, nazwiskiem pogardy pełném, napiętnowany zostanę. Pozyć czuję, ale śpiewać nie potrafię, naukę pojmem i zbiorę może pamięcią, ale jój nie posunę dalej... stróżem będę u drzwi którędy inni wchodzą i wychodzą; a jeśli po latach wielu żmudnie wypracowaną rozprawę po łacinie wydam, o za-

traconej jakiś księdze lub rękopiśmie, którego tylko reszty zostały, któż ją czytać zechce?

Sed nos in mensum spatiis confecimus aequor:

Et jam tempus equum fumantia solvere colla!

(*Virgil. Georg. II.*)

Tak! dosyć, zdejmijcie ze mnie chomąt dy-
miący znojem tych wyznań... dość naśmieliście
się przyjaciele, pozwólcie zamilknąć, a żem za-
wiódł oczekiwania wasze... darnjcie. Gdybyście
mi kazali wyliczyć edycje Horacyusza i ocenić
prace nad nim Bentleja, Sanadonia, Kirchnera,
Fraukego, Webera, Milmana, Stallbanna, Bon-
da... lepiej bym się pewnie z zadania wywiązał...

Ten nas istotnie zawiódł, rzekł Teofil, wię-
cej daleko po nim się spodziewałem, ale z ncz-
nego prochu, trudno dobyć iskry, a od kochanka
książek, papierowej miłości tylko mogliśmy się
spodziewać.

—Nie szczéry i skryty, zawołał Longin, to
mu się nie chwali...

—A z czémżebym się ukrywał, przerwał Cy-

ryll, serce moje oprawne w stary pargamin, znajome wam aż nadto... dajcie mi pokój i dozwolicie spocząć, i tak już ta drobina marzenia upoiła mnie na długo... nie potrzeba zaglądać nawet w przepaście szczęścia, bo i od nich głowa się zawraca.

Powinienby nam przecie i pan Baltazar coś powiedzieć, przeciał Longin, spozierając nań z ukosa— ale czy zechce?

Stary nasz kolega uśmiechnął się i ruszył tylko ramionami.

—A to by było zabawne, żebym ja się miał spowiadać przed wami?

—Wszakżeś słuchał, mógłbyś i mówić, odparł Longin, śmielszy od innych.

—O! jakie ciekawe dzieciiska! rozśmiał się podlysiały medyk. Więc was zadziwić dziś naszą popularnością moją.— Cymbuś, podaj mi szklankę herbaty, a w niej trochę natchnienia i poczyi.

—Co? proszę pana? spytał naiwnie przysłuchując się sługa, sądząc że to był rodzaj rumianku lub mięty.

—No! herbaty!

Baltazar usiadł i począł sucho:

—Nikt z was dobrze nie zna mojej przeszłości, dla tego trudniej wam będzie zrozumieć czego od jutra żądam... ale mniejsza o to, każdy z was dosztukuje swoim lachmanikiem.

Powiedzieć mi naprzód, czego w najszcześniejszym razie może człowiek wymagać od ziemi? Spokoju tylko i negatywnego szczęścia, które jest finalnie—brakiem cierpienia; więcej rozsądny ani pragnie, ani się spodziewa, bo wie że zawiesić by się musiał. Sama natura życia wskazuje mu, że tu wszystko zmienne, niestale, że nie ma trwałego, nie pewnego, na co by rachować można. Do niezego więc zbytnio przywiązywać się nie potrzeba, to pierwsza, na nie bardzo rachować, to druga, a nsilować się tak ograniczyć by cisza i dostatek wystarczały na wszelkie potrzeby.

Naprzód więc precz z marzeniami i nadziejami próżnemi, żadnych namiętnych przywiązań, żadnych ideałów—kawałek chleba, ciepły ką, suknia porządna, od ludzi trochę szacunku i przy-

jaźni, które są także do spokoju potrzebą i warunkiem.

Jestem przekonany, że człowiek chłodny, wyrachowany, nie dopuszczający się marzeń, nie zakładający szczęścia w tém, co go dać nie może, jeśli nogi nie złamie, kaleką nie zostanie, raka nie ma i liszajów... może weale znośne wieść życie...

Ja też od żywota więcej nie wymagam nad to, żeby było znośne... a że każdy tylko o sobie myśli, ja także myślę o sobie. Ludzi tak bardzo nie potrzebuję, miłości ich zbyt nie pragnę, chociaż naiwności chciałbym unikać, bo to rzecz niewygodna... Spokój, dobry byt, to zadanie moje.

Nie powiem wam, żebym bardzo medycynę kochał, albo naukę miał za coś innego jak za narzędzie; pełno w niej niepewności, tajemnic, nigdzie punktu podpory, wiem, że przez nią trochę mogę znać człowieka, ale całkiem nigdy, uczę się więc wprost dla chleba i do tego najszezérzj się przyznaję. Niech mi nauka da byt niezależny a o więcej jój nie proszę.

. Utopiją moją, jest gdzieś w dobrém, eichem,

na ustroniu miasteczku, domek własny, zamknięty szczelnie, ze dzwonkiem u drzwi, sługa wier-ny, gabinet ciepły, fotel wygodny, grosza dosyć na moje potrzeby, kucharz smaczny, piwnica zaopatrzona, zapas w sakiewce na przypadek wszel-ki, kilku dobrych znajomych, ludzi porządných i łagodnych, do preferansika lub wista, kilka do-mów dla rozrywki gdy się u siebie znajdę, książka czasem jako środek odświeżenia umysłu... ot... zdaje mi się że na tém koniec i nie więcej.

Widzicie żem wcale nie wymagający...

Albin porwał się jak oparzony.

—Panie Baltazarze, zawołał, wiele masz lat?

—Tyle ile ich mieć potrzeba by poprzestać marzeń.

—Ale miałeś kiedy marzenia? kochałeś kie-dy? spodziewałeś się czego?

—Prawdziwie... nie pamiętam, rzekł Baltazar uśmiechając się.

—I nie lękasz się, by ta ośpa, której nie prze-byłeś za młodu, nie przyszła ci na starość?

—Ho! ho! rozśmiał się medyk... zdaje mi się żem zupełnie pewien, iż na nią chorować już

nie będę; chcecie bym jak wy kochał się w chińskich cieniakach i wzdychał do gwiazd na niebie?

—Jak to? więc dla nikogo miłości? żadnego porywn ku niebu? nie na ziemi co by inne a lepsze przypominało ci światy?

—Są to kwestye, które ty tylko robić możesz, odpowiedział Baltazar— zazdrościsz zapewne mojemu szczęściu... Nie porywam się na zadania, których stanowczo wiem, że z danych jakie mam rozwiązać nie potrafię; poetą mnie Bóg nie stworzył, bym dopełnił imaginacyą na co fakta nie starezą... Jestem już dziś na wyżynie, do której wy nie prędko dójdziecie jeszcze...

—Ja bym powiedział: na dnie przepaści! rzekł Albin.

—Czego rozsądnie wymagać można po życiu? przerwał ciągnąc dalej Baltazar— miłość ludzi jest nietrwałą i zagadkową, przyjaźń ich stała, rzadkim fenomenem, gotowa do poświęceń, niewidzianem zjawiskiem, szacunkiem i wielbieniem, najczęściej udziałem niezasłużonych... a ideały na ziemi, widmem chorobliwych oczów... Człowiek

chłodny bierze życie jak jest, rachuje zimno, a jeśli się omyli w rachubie, którą zawsze podejrzewa, stara się poprawić ją czynem, nie rozpala się do nieczego, znosi bez śmiesznych i dziecinnych wrzasków co go spotka, siebie tylko pilnuje, o sobie się troszczy— a że to, co zowiecie w nim duchem, jest czysto-konwencyonalną zabawką... i udowodnić się nie daje, bo fenomen ducha zlewają się z działaniami cielesnymi— usuwa ten żywioł z rachuby i nie miesza go do ścisłych swych na przyszłość kalkulacji. Daje mi zresztą pokój, sami widzicie żem nie wasz, choć z wami na jednej siadam ławie, choć jeden mundur noszę i słucham waszych szaleństw, jakbym słuchał szumu drzew na przełazie w Zakrecie.

W mowie Baltazara chłodnej i przesiąkniętej wiarą w jedną tylko rzeczywistość nagą, było jednak coś co dla nas zdradzało jakieś dawne zawody na drodze życia, jakąś gorycz ukrytą... Wiedziano wszakże, iż się z nich nie wypowiada, bo utrzymywał zawsze, że człowiek, zwierając się komuś niepotrzebnie, zaprzęga się w jarzmo i oddaje w moc jego... Gdy więc umilkł i głowę spu-

ścił na piersi, nie badano go więcj, a Longin sam wyrwał się pierwszy z wyznaniem.

—No! to teraz ja, moi mościwi panowie a bracia, rzekł w pół szydersko—mojém *Credo* jest to axioma i pewnik, którego Cyryll potwierdzi starożytne pochodzenie, że:

Audaces fortuna juvat.

Śmiałość i odwaga są tylko przeznaczeniem tego co nas czeka i rękojmą powodzenia; kto ich nie ma, może być pewien, że w jego przyszłości też nie się ciekawego nie znajdzie.

Nie darmo i bez celu od natury nie otrzymuje człowiek; komu dana władza zdobyweza i śmiałość, ten pewnie ma jakąś Amerykę przed sobą, i choćby nim najsrozsze burze miotaly, przypły- nie do niej Kolumbem!

Przyznaję się że zawsze czułem w sobie powo- łanie do wyższych celów, gorączkę dźwignienia się po nad drngich, i dotąd nie mogę się skar- żyć, aby mnie matka natura, *alma parens* zawio-

dla. Dobiłem się czego chciałem, i dobiję się czego pragnę...

Życie z natury swój jest walką, a bez pięści, silnej drogi nie ma co przedsiębrać... na prawo i lewo nieprzyjaciele; jeżeli ty nie popchniesz, pchną ciebie i zgniotą. Jedno więc z dwojga, albo zostać zgniecionym, albo samemu dusić potrzeba, ja wolę ostatnie.

Idę w ten sposób i dojdę jak najdalej będę mógł. Są ludzie co mają namiętność podróży, świadkiem pani Ida Pfeiffer, której już dziey nawet jeść nie chcieli, a która jeszcze sucha i wychudła jak szesepa włóczy się po świecie, szukając czego nie zgubiła. Wolno mi więc także mieć namiętność przepodróżowania świata i wdarcia się na stanowisko najwyższe, jak Anglikowi na Mont-blanc. Byłem sierotą i obdartusem, chcę o siłę własną bez pomocy nieczyjej, dojść tak wysoko jak mi życie pozwoli, i wdrę się na szczyt mojej góry, choćby miała być wyższą i niedostępniejszą od Araratu, na którym szczątki arki czernieją.

Narzędziem moją wiarą w siebie i odwaga. Ludziom panować potrzeba, a wszystko się otrzy-

ma, dobroć i łagodność to żebractwo, niemi wymodli się kawał suchego chleba—królestwa brać musimy bojem i przebojem.

Ja chcę niewiele... śmiejcie się widząc, że w jednym wyszarganym mundurze chodząc, tak śmiało się odzywam—pragnę tylko ogromnych bogactw, wielkiego znaczenia, stanowiska w świecie znakomitego, krzyżów, honorów, tytułów, skarbów... i po troszę wszystkiego co ludzie cenią i w czém smakują.

Pragnę z pamięcią mojej nędzy i pychą zdobywcy zasiąść na stopniach najwyższych, wybrać sobie z rasy najwyszukańszej towarzyszkę życia, iść, iść, drapać się póki sił i żywota stanie...

Nie chodzi mi może o szczęście, bo jak Baltazar nie wiele w nie wierzę, ale o to bym nakarmił dumę, bym sobie winien był wszystko, tylko sobie... by dla mnie nie niedostępnem nie pozostało. Chcę skosztować wszystkiego, spróbować co nieznane, umoczyć usta w ambrozyi... i nie umrzeć póki jeszcze zostanie szczebel do zdobycia i łup do pochwycenia.

Małém ograniczyć się nie mogę—wszystko lub nie—padnę? to cóż? u wejścia byłem nędzarzem

i sierotą, wrócę tylko do tego czém byłem! Ale to być nie może... nie! nie! *Audaces fortuna juvat!* a ludzie są głupi.

—Tak sądzisz? spytał Cyryll z uśmiechem.

—Jestem tego najpewniejszy. Nie powiem żeby mnie Pan Bóg lepiej od innych obdarzył, ale dając mi odwagę, dał mi wszystko... nad to nie potrzeba więcej, jest to wytrych co otwiera zamki najtwardsze. Ludziom wszystko wmówić można, talent którego się nie ma, naukę gdy się nie umie, serce choćby nigdy nie biło, dobroć nie dając jej dowodów, co chcecie, byle uporczywie o nich gadać. Jeśli ci nie przyznają całości, to choć krakowskim targiem połowę...

Jest to pewnik nie wzruszony; śmiało patrzaj w oczy, nie dawaj się nigdy zbić z tropu choćbyś w duchu zbitym się poczuwał, pokonany, utrzymuj żeś zwyciężył, upadłszy, mów żeś się dobrowolnie położył, ludzie ci w końcu uwierzą. Serca nawet zdobywają się szturmem, nie, że ci ktoś z razu skrzywioną pokaże minę, że cię powoli odtrąci, że drzwi ci zamkną przed nosem, powracasz raz, drugi, trzeci... i postawisz na swoim.

Marzenia moje mnie się tylko tyczą, o drugich

nie myślę... świata nie przerobię, nie bardzo weń wierzę, ale co tylko może dać nasycenie chwilowe, szal czy prawda, złudzenie czy rzeczywistość, biorę wszystko, garnę i pakuję do mojej torby zebraczej.

Urodziłem się na potężnego egoistę—nikt o mnie nie myślał, nikt mnie nie chciał, wszystkom musiał wywależyć, a co dalej przedemną, nie wiem. Upodobań nie mam szczególnych, głodny, gotów jestem zjeść co napadnę...

Jakiś głos wewnętrzny mówi mi, że powodzenie mnie czeka, że kampanija zostanie wygrana, i siadę wyżej nad was wszystkich.

Każdy z was ma jakąś słabość, pięć nie umaczaną w wodzie, ja cały zamrzony w nią zostałem... Tego Albinka można kupić miłością, Baltazara, sądzą, pieniędzmi, Teofila łąda cackiem błyszczącym,—mnie niczem.

Biorę miłość nie dając serca, pieniądze także i cacko jeśli ładne, ale to mnie na drodze nie wstrzyma, nie sparalizuje, nie osłabi; namiętności nie rozumiem, na monomanią nie choruję żadną, jestem zahartowany.

Jakże mi się nie ma udać? zdaje mi się, że wszelkie żywioły powodzenia mam już w sobie, a póki odwagę mieć będę i tę wiarę jaką jestem natchniony, że nademną świeci gwiazda jasna... pójdę daleko i wysoko...

Dokąd i jak zajdę? to kwestya czasu i okoliczności...

—Nie rachujesz widzę wcale na nieprzewidziane wypadki i przeszkody?—Przerwał mu Baltazar.

—Takich jak ja ludzi, broni sam los, który ich do wielkich rzeczy namięcił, dając im instykt w chwili niebezpieczeństwa, natchnienie gdy o wybór chodzi... Jeżeli doróżka ma jutro przejechać kogo w ulicy, a nas tam z Albinem dwóch iść będzie, jestem pewien że on wpadnie pod koła a ja zostanę cały.

—Ale to także szaleństwo, taka wiara w fatalność jakąś, rzekł pierwszy, mówisz że nie cię nie uwodzi, żeś panem siebie, a balamneisz się jakimś mystyczném przeznaczeniem.

—Jużciż w coś wierzyć, choćby w siebie naostatek muszę, nie tak jak wy panie Baltazarze, rzekł Longin podnosząc głowę.—Jeszcze raz ci powtarzam, ty również masz słuszość z obawą

swoją jak ja z odwagą: to jest poczucie bezbronności i słabizny, a to uczucie swęj siły. Każdy z nas ma w sobie ziarno przyszłości, którą pielęgnuje... nie się jednak nie urodzi zeń innego nad to, co tam zasiano.

—Fatalista! szepnął Serapion z przestраchem.

—Może trochę— zawołał Longin powolnie— ale przy fatalizmie moim dużo jest dano samym siłom człowieka. Z żółędzia nie zejdzie jedno dąb, ale dąb od siebie zależy by był krzywym i koszlawym krzakiem, lub wystrzelonym do góry, wyniosłym i potężnym drzewem. Nie przerobisz się, ale się dźwignąć możesz lub pozostać przy ziemi.

Cóż wam więcęj powiem? Że pragnę wszystkiego po troszę, a racęj wszystkiego po wiele... sławy, bo to narzędzie i wielka dźwignia do dzieła;—imienia, grosza ogromnie, kobiet nawet, miłości, honorów, tytułów, wszelkich znikomości, które że są diable znikome, więcę ich też wiele na jedno życie wymagać muszę. Znajduję to logiczniejszym niż gardzić znikomości; kiedy mi na wieczkę dadzą bifszyk dobry i posilający, nie mogę go zjeść wiele, a ciasteczka znikomego gotów jestem koszt cały... Toż z temi

marnościami, nie rychło one nakarmią, więc masę ich spożyć potrzeba...

Teofil poklasnął.

—To teoria nowa! zawolał. .

—Gotowi posyłać po nocy po ciasteczka! westchnął ruszając ramionami pod piecem stojący Cymbus... a żeby ich z temi grymasami!!!

—Ale jakąż obierasz sobie drogę do tych zdobyczy? zapytał Teofil, bo to ciekawa rzecz, jak myślisz zejść daleko i którędy?

—Wicie, że chodzę na oddział prawny, nie żebym filozoficznie badał idei prawa i zasady jego, nie żeby mnie ciekawiły: Dwanaście Tablic, Hugo Grotius, Puffendorf i Vattel, lub objaw idei prawa w ciągu wieków się przetwarzający, ale po prostu że znajomość prawa daje wielką w życiu siłę. Na niém oparte są wszelkie stosunki ludzkie, a ludzie tacy głupi, że zawsze endzemi rękami się posługują, gdzie swoich dwojga byłoby nie dosyć.

Prawnik jest więcej niż lekarzem, bo chorzy umierają, a zdrowi go nie potrzebują, gdy prawnika każdy, i nikt sam sobie bez niego dać rady nie potrafi. Przy tém raz na téj drodze otwiera

mi się wolny przystęp do wszystkiego, do dyplomacyi, do urzędów, do znaczenia w świecie. Najnieprawdopodobniejsze fortuny i karyery porobili dziś prawnicy; zacznę bodaj od małego, ale że się dam poznać to pewna, na logice i trafności mi nie zbywa, ludzi znam z dobrój dla mnie ich strony, to jest ze słabój... a ta mi najpotrzebniejsza... potrafię w nią uderzyć. W raz dam się poznać jaką śmiało odegraną komedią, zrobię co, czy nie zrobię, potrafię mówić głośno i śmiało, żem dokazał cudu, a im szaleńsze będzie kłamstwo, tém lepiej mu uwierzą ludzie, mówiąc sobie:— Jużciż by nie mówił, gdyby nie zrobił!

Raz zdobywszy tylko cal ziemi, byłem sto-
pę, palec postawił, idę dalej niepowstrzymany,
jak uragan i burza. Cóż wy myślicie? śmie-
jcie się po cichu, a ja swoje:

Audaces fortuna juvat!

—Ale zuchwalstwo też czasem się samo za-
bija— mruknął chcąc się pomścić Baltazar.

—Ba! tylko że ja wiem gdzie i jak mam wal-
czyć i jakim orężem, bądź o mnie spokojny;
życzę ci jeszcze dziś choć starszemu zasięgnąć

u mnie rady jak masz począć praktyczną medycynę w swojém idealném miasteczku, bo jeśli mnie nie posłuchasz i trochę szarlatancryi nie użyjesz, kto wie czy pacyentów mieć będziesz innych prócz żydów i dwuzłotówkowych...

Baltazar rozśmiał się, a wszyscy za nim radzi przerwać milczenie. Longin chodził żywo po pokoju, fajkę palił, dymił okrutnie, pił ze wszystkich szklanek, i potraçał, coraz mu się głębiej w zakątek pod pieccem następującego Cymbusia... istotnie minę miał zdobywcy kroczącego przeciw wielkiemu jakiemuś przeznaczeniu.

Rozrzucono kasztany na stole i wszyscy, nie wyjmując Baltazara, który sobie najlepsze miejsce wynalazł i Longina ostróźnie ładującego zaraz kieszzenie, aby go drudzy nie objedli— rzucili się na te łakocie z wesołością dziecinną.

—Teofil jest najpoczeiwszym z ludzi, rzekł Longin, wotuję mu wieniec obywatelski. Gdzież tak swobodnie i wygodnie nam jak u niego?.. gdzie lepsza herbata i kasztany... zobaczycie, że za admonicyą, którą dostał, gotów jeszcze postać po kotlety z klassyczną cytrynką...

Cymbus syknął i w głowę się poskrobał.

—To nie kotlety jeszcze, rzekł, ale na tyle osób gdzie talerze i grabki?

—Potrzeba jest matką wynalazków, Cymbn-
siu kochanie powinieć już o tém wiedziéć, gdy
słomą dzinry w bótach zatykasz, rzekł Longin—
ja naturalnie będę jadł na talerzu i najlepszym
wideleem, Baltazar także, a lud pocziwy i skro-
mni proletaryusze... palcami, rękami, łyżeczkami,
na papierze, na miseczkach od filiżanek...
Główną rzeczą jest jeść, akeessorya małej wagi.

—A sos? spytał Cymbnś naiwnie jak zawsze.

—Sos... wiedz o tém, jest zawsze na świecie
tylko dla uprzywilejowanych.

Spójrzal mu w oczy Cymbnś, nie zrozumiał
nieborak, ale tak był przekonany, że potężny Lon-
gin musiał coś bardzo mądrego powiedzieć, że
się na wiarę rozśmiał i rękawem wstydliwie
przykrył twarz rozweseloną...

—Więc dalej panowie, zawołał Baltazar, no,
jużciż i Milezek Serapion coś nam dziś powie-
dziéć powinien: nie prawdaż?

—Ja!!!— krzyknął przestraszony.

—A powie! powie! krzyknęli wszyscy, już się nie wykręcisz, musisz! musisz! milezałeś tyle żeś nam winien nareszcie coś przecie. Jesteś jak ów co zawsze je cudzym kosztem, a sam nakarmić nie chce.

—Albin co mnie dobrze zna, mógłby wam zaświadczyć, że nie nie roję, żądania moje skromne, a przyjmę z pokorą co Bóg dać raczy.

—E! nie sztuka tak się wykręcać, przerwał starszy ocierając nsta... gadaj paniezu, kiedy mnie do tego zmuszono, cóżes ty lepszego od drugich! Słuchałeś, będziemy słuchali i śmieli się z koleci... Korona ci z głowy nie spadnie!

—Nie ciekaważ to rzecz, to co ja wam powiedzieć mogę, szepnął po cichu skromny chłopak. Sierota jak Longin, ludzkiemu miłosierdziu winienem nadzieję lepszego bytu, Ewangeliczec wiarę, którą żyję,— nie snuję sobie nadziei świętych, nie pragnę wiele, nie żądam nic... pewien jestem, że jaki mi stan i byt Bóg wyznaczy, z Ewangelią moją szczęśliwym będę, bo i doli i niedoli pokorą, rezygnacją, poddaniem się podolałam... Nie myślę wyłamywać się z ogół-

nego prawa cierpienia, bo któż od niego wolen? zniosę co mi przeznaczono...

Proszę nie śmieć się ze mnie, wicie wszyscy zem z jednej książki czerpał całą mądrość moją i naukę żywota, nie mogę i dziś jęj zapomnieć, przychodzi mi nieustannie na myśl i usta.

Jęj winienem spokój duszy, pogodę serca mojego, przygotowała mnie na wszystko, nauczyła kochać świat cały, nikim nie gardzić, a w przyszłość patrzeć spokojnie.

Nie pragnę być niczem prócz człowiekiem Ewangelij i uczniem Chrystusowym, iść zdaleka w wielkie ślady i nie npaść.

Nie mam w sobie siły apostoła, ani słów proroka, nie potrafię nawracać, nie myślę też przerabiać świata i gromić tłumy, ale poczynam i kończę na sobie.

Zadanie to największe dla mnie, siebie sprostować, siebie podnieść, być samemu naprzód takim, jakim był Pan i Mistrz nasz... a światu—służyć w pokorze.

Słów takich dawno nikt z nich nie słyszał—przyznajmy tu prawdę, że duch religijny nie rozbudził się był wówczas jeszcze, a szczątki XVIII.

wieku silnie się czuć dawały w duchu Uniwersytetu Wileńskiego.

Rzadko więc można się było spotkać z Ewangelią i otwartemi jej wyznawcami, nawet między temi, co już nosili suknię duchowną, obojętność była największa dla źródeł poświęconych, z których by mogli zaczerpnąć wiarę gorętszą, od nich zwracano się do innych i zdawały się im czystsza wodą płynące. Serapion był tém dziwniej pięknym wyjątkiem, że się nie dawał pożyć otaczającym go wpływem, nie wstydał pocziwów wiary i nie odrzucił téj Ewangeliezki, która była jedyném jego na téj ziemi dziedzictwem— spadkiem wydziedziczzonego.

A choć na twarzach Longina i Baltazara zjawiał się uśmiech pół szyderski i wejrzenie ich chłodne skierowało się na chłopaka, co z tak piękną odwagą wypowiadał duszę swoją, Serapion nie uląkł się szyderstwa, które mu grozić się zdało.

—Znam świat, mówił dalej, z téj tylko jednej księgi i ta mi wystareza, w niej mądrość moja, przewodnik, wszystko; z nią jak we zbroi

spokojny jestem na przyszłość, z niej nieczę się nie nie pragnąć, wszystko przyjąć, i za wszelki dar błogosławić temu co mi go zesłał.

Oto jest, wedle mnie, prawdziwe szczęście na ziemi,— umiść nie żądać, nie przywiązywać się do niczego ziemskiego, kochać ludzi nad siebie, siebie ze zwierzęcia podźwignąć do ideału.

Idealem tym dla mnie ten naprzód co siebie na krzyżu za ludzkość poświęcił i jak wymownie ktoś wyrzekł (Rohrbacher)— ten żyd powieszony haniebnie, co śmiercią swą na szubienicy rzymskiej całego świata oblicze przerobił... W życiu jego jest wszystko, co na naukę życia potrzebne, w jego słowach jest stworzony przezeń raz drugi, świat cały. Sto razy odezytuję te słowa, z których prostaczek i mędrzec się napawa... i bezdni tej wypić nie mogę. Słowa to na pozór proste, nie wyszukane, a jednak jak potężnie większe od tego co je poprzedziło, i co po nich kiedykolwiek wyrzekł człowiek.

Idealem potem dla mnie pierwsi chrześcijanie, wielkie postacie *wezwanych*, z ludu, od sie-

ci, od roli, od ceł, od oręża, żołnierzy, rybaków, wyrobników, co posłuszni być umieli duchowi, który ich ożywia!; wielkie a ludzkie postacie, bo uczą nas nawet podźwignienia się z upadku, którego doznali;— męczennicy, święci i Boży lud wybrany, który od Betlejemskiej szopki po dziś dzień składa jakby jeden nieprzerwany szereg— jeden świetny zastęp bojowników zwycięzców...

Życia— wam ani nikomu nie zazdroszczę, ani marzeń jego, ani wątplych nadziei, ani nasyceń chwilowych... spokojny jestem, czekam co mi ma być dano... na wszystkom gotów...

Czy przy tój uczcie co trwa mgnienie oka, zasiądę w purpurze, czy w żebraczym odzieniu, możesz to wiele obchodzić? Czy mnie na pierwszym lub ostatniem miejscu posadzą, cóż po tém? Widzę grób pod nogami, a za nim krainę pokoju.

Credo videre bona in terra viventium!

Na ziemi nędza, ntrapienie, boleść— narzędzia ubłogosławienia, a na nie lekarstwem miłość braterska, wiara niezachwiana...

Wy coście sobie z jakich sześćdziesięciu lub

siedemdziesięcin obiegów ziemi zrobili wieczność całą i bezpiecznie gnieździecie się w życiu, które się jutro rozprysnąć może jak bańka mydlana—dziwię się wam, ale nie zazdroszczę.

Wiém, że uśmiech wywołam na usta wasze i będziecie, jak niegdy z apostołów wyśmiewać się ze mnie, myśląc żem i ja pijany a mnszczu pełen (Dz. Apostolskie, R. II. 13.), ale cóż mi śmiechy wasze? sam w duszy pełen spokoju...

— Jak to? i masz się za tak silnego, że cię nie nie zwalczy? zapytał Longin, że ci się nie uśmiechnie nie, nie pociągnie? nie skusi? nie oszali?

— Mylisz się bracie, rzekł Serapion— jestem słaby, ale to uznanie słabości mocą jest moją, unikam czego przemódz nie potrafię, uciekam, gdy zwycięztwa nie pewien, a upadłszy powstaję.

— A! więc padasz! rzekł Longin...

— Padam duchem i ciałem, odparł Serapion, i jeśli się godzi do siebie zastosować te słowa święte: umysłem służyć zakonowi Bożemu, lecz ciałem zakonowi grzechu. (Paweł do Rzym.

VII. 25),— ale któż bez zmazy? Alboż myślicie, że i na mnie nie przychodzą chwile zwątpienia i potów śmiertelnych? ale gdym wołał o pomoc, gdym się ukorzył, gdym płakał, nigdy mnie Bóg sierotą nie porzucił i nie odepchnął.

Z tą wiarą cóż mi mój żywot na ziemi, gdy obojętna dla mnie jak przejdzie, byleby mnie nie pokalał? Nic nie marzę, a przyjmę co mi będzie dano; dołę, niedołę, cierpienie, upokorzenie, trochę spokoju lub wiele boleści— mam ojca w niebiesiech, a ten lepiej pamięta o mnie niż wasi rodzice. Mojem dziełem czuwać nad sobą i czystym iść gdzie każą, pewien jestem, że nikt sobie nie wyrobi pracę najzuchwalszą, co mu Opatrzność nie przeznaczyła...

Ale przyznam się wam do jednego tylko marzenia... a! gdyby siły po temu, gdyby natchnienie z góry, gdyby promień na głowę Bóg zesłał!

Wśród tego świata zobojętniałego, skośniętego, zimnego i zwracającego się znowu do pogaństwa; w którym nauka Chrystusowa jest już tylko pięknym słowem, a szukają w niej dziś nie prawdy, ale poczyi tylko— jabym chciał wdziawszy

sakwy i kij ujawszy w rękę, pójść z Ewangelizką moją od chaty do chaty, od dworu do dworu, z nowiną dobrą, z gorącym słowem; chciałbym je zaszezepić w sercu ludu, którego nikt nie naucza, i nie krzepi, w sercu wielkich, które stwardniało, w sercu wszystkich, co o Bogu nie myślą.

Otoż los godzien zazdrości tego, co by był dziś namaszczone, w wieku rzeczywistości, tą poczytą świętą prawdy świat wskrzesić i odżywić; kto by był mocen słowem oderwać kupeów od ich rachunku, uczonych od ich zaciękań, spekulantów od grosza, a szalone dzieci rozpusty od kielicha, który tak cheiwie wypróżniają...

Wystawiam sobie jak szalonym bym się im wydał, a jakbym był wielkim!! Łacniej zaprawdę było kazać ludom w piérwszym wieku po Chrystusie, niż chrześcianom w XIX.;— tanto były świeże i nie zepsute ludy, przysposobione do przyjęcia prawdy wielkiej i nowój pragnieniem i oczekiwaniem wieków; dziś gorzej, bośmy wśród tłumu, co przyjął i zapoznał prawdę, co owoc wziął, skosztował i odrzucił od ust spalonych.

I więcej, zaprawdę, potrzebuje może zepsuty świat dzisiejszy apostołów niż ówczesny... Wierżono we wszystko wielkie, cudowne, łakniono nieba na ziemi i Bogów na nią sprowadzano;— dziś suchy i zimny rachunek zastąpił popędy szlachetne, a wrota nieśmiertelności zamknięto, żeby przez nie na zromatyzmowaną ludzkość nie wiało.

Gdybym potrafił o kiju wyjść apostołować znowu!— U nas jeszcze może nie jedne drzwi by się otworzyły, nie jedno posłuchało by serce otwarte... ale dalej... dalej... cóżbym czynił w tej stariej Europie, gdzie wszystko co niepowszednie to śmieszne? Nająłby może Barnum jaki proroka, żeby go za biletami znudzonym pokazywać handlarzom.

Politycy szukaliby w nim sekcjarza jakiejś teoryi soecyalnej— podejrzowano by w nim wszystko oprócz ucznia Chrystusowego, tak to już powstać niewidziana na świecie.

Otóż ideały i marzenia moje... z kijem pielgrzymia u drzwi balowych w Paryżu, stoję i nawracam, idę pod Giełdę ich wrzawliwą, jak

widmo Banka zjawiam się wszędzie, gdzie zaminają o Bogu— w pośród teatru na scenie, wśród biesiad jak blady upiór, jak statua Komandora, w fabryce między zgniłym proletaryatem, co się dusi w powietrzu i obyczajach zepsutych...

Nie jest-li to marzenie cudne! A jeśli wśród mojej pielgrzymki od wrót do wrót o żebranym chlebie, pokorą i miłosierdziem nawróciłbym gdzie choć jedną duszę, zasiał myśl zbawienną, wzbudził uczucie, łzy osuszył— nie dość-że by było na oświecenie życia całego, nie okupiłyżby one grzechów mojego żywota?

Wy się uśmiechacie ze mnie— ale inaczéj-li poczynają się wszystkie wielkie i święte reformy jak śmiechem i szyderstwem wygwizdywane? pogardą i odepchnieniem witane?

Zwróciłbym się do nieszczęśliwych, ci by najlepiej zrozumieli mnie pierwsi... jest ich dosyć?

Chwyciłbym potem tych co z życiem nie wiedzą co począć, co siedzą u gościnca, nie pragnąc i nie łaknąć niezego.

Powiedziałbym mądrym, że troskają się o wie-

le, a zapominają co główna; biednym, że ich jest królestwo niebieskie byle oczy załzawione wzniesli ku niebu, znalazłbym w téj małej książeczce mojej słowo dla każdego, na każde cierpienie pociechę?... Któż wie, może gorące słowo obudziłoby iskierkę jaką? może pociągnąłbym za sobą, możebym do kościołów wprowadził modlitwę, do serc nadzieję i miłość— do umysłów jasność niebieską.

—Gotujesz się jak widzę nie zartem na Apostoła, rzekł Baltazar— ale po cóż ci już nauka?

—Mylisz się, odparł Serapion, którego oczy łzami połyskiwały, nie czuję w sobie sił do tego posłannictwa tak wielkiego— a jedno maluczkie serce ciepłe dziś by nie roztopiło tego oceanu lodów, w którym żyjemy— dziś— bodajbym nie bluźnił— potrzeba by nowego przyjscia Chrystusa, aby nawrócić tych pogan, któremi my wszyscy jesteśmy.

Chrześcijanie? gdzie braterstwo? gdzie bracia? spytam z Albinem— chrześcijanie? gdzie enoty chrześcijan? gdzie poświęcenie i pokora? Chrześcijanie? gdzie świata pogarda? gdzie męż-

two? gdzie ci cohy życie dał za prawdę? i co dla nich prawda?

Ślepy chyba by nie dojrzał, że od kilku już wieków wielka rzeka ludzkości zwróciła się znowu do starego swego zamulonego łóżyska, a nowym korytem sący się tylko strumyk małeńki... wedy potoku całe lecą pędem dawnymi błoty i zgnilizną.

A tak by jasno, cicho, szczęśliwie, spokojnie mogło być na świecie, gdybyśmy go na słowie Chrystusa: Mińcie się jako bracia! odbudować mogli!

Serapion spuścił głowę i wszysej owiani smutkiem jakimś zamilkli, tylko Teofil porwał się cały rozogniony i mowę serdecznie uściśnął.

—A! rzekł gorąco— daj mi siły, daj wytrwanie, daj mi moc a pójdę z tobą i za tobą, będziemy nawracali!

—Nawróćmyż wprzód samych siebie, odparł smutnie młody chłopak, to pićwsze i największe, to najgłówniejsze zadanie. Drogi mój Teofilu, pracujmy nad sobą, nie nam, nie nam obu sięgać po kij apostołski, ręce go nasze nieudźwigną... I... dosyć marzenia!!

— Gdyby nam kto co weselszego, a bardziej pocieszającego powiedział, ziewnął Baltazar, nie byłoby od rzeczy... a kolacya téż nie jest od rzeczy! dodał w sposobie cichego komentarza.

— Kolacya! Cymbuś! ruszaj po kotlety! zawołał, z poezyi przechodząc do prozy nasz amfitryon.

— A pieniądze? zapytał Cymbuś naiwnie, bez pieniędzy już nie dadzą!

— A! pieniądze! to prawda! rzekł gospodarz i pobiegł do stolika, otworzył szufladę, w której ujrzał tylko zupełną próżnię, a w średniej, samotnie walającą się berlinkę nie zapomnianą niestety, ale odrzuconą, bo jej żaden żydek nawet przyjąć nie chciał, tak wyglądała podejrzenie czerwono.

— E! dadzą na kredyt! rzekł Teofil zwracając się błagająco do Cymbusia, na którego wymowę rachował.

— Nie, nie dadzą! stanowczo odparł Cymbuś, kiwając głową.

— Co tu robić? Albin pożycz?

— W imię miłości powszechniej i dobra publicznego, dodał Baltazar.

—Wiele chcecie, daję, rzekł Albin dobywając sakiewki.

W tém wszedł Konrad powracający z wieczora w zbrukanych już rękawiczkach i z dosyć kwaśną miną.

—A witajcie Don Żuanie! krzyknęli wszyscy otaczając go... otóż *deus ex machina*, naturalnie kolój na ciebie!

—Do czego? spytał zamyślony elegant— co? jak? nie nie wiem.

—Jako? już o niczém nie pamiętasz?

—A cóż się to stało?

—Wszakżeśmy przedsięwzięli spowiedź generalną naszych marzeń i ideałów, rzekł Teofil, i z kolei Serapion nawet musiał nam głęb swéj duszy odkryć do dna... ty się także nie możesz wykręcić.

—Dajcież mi naprzód... fajki i herbaty, począł rzucając się na sofę Konrad.

—Tyś taki wybredny, że nie wiem jaki ci cybuch dać się ośmielę, we wszystkich gra jak

na organach, poślij po swój z bursztynem do domu.

— Dobrze, i po szlafrok razem, dodał młody człowiek, a potem... no! wypowiadam się i ja, bo mi nie brak pomysłów do przyszłości.

— A! o tém wiemy! zawołali śmiejąc się wszyscy.

— Tylko jeśli się tak śmiać będziecie?

— Chciałbyś żebyśmy płakali?

— Nie— ale trochę współczucia... to sił dodaje.

— Ja cię będę podtrzymywał, rzekł Longin, ale ponieważ się masz spowiadać— dodał, zaznij od grzechów dzisiejszego wieczora— gdzieś bywał i jak ci się powiodło?

— U generałowój? a powiodło mi się.— Zatrzymał się i ślinę przełknął.

— Nie kłam, rzekł Longin, by gdy skłamiesz zaraz ci się oczy koszą i bełkoczesz, poznamy, opowiedz raczej jak to było?

— Zwyczajnie jak na wielkim świecie, wieczór wspaniały, panien mnóstwo i ślicznych, salony oświecone, świat znakomity i poważny...

Ja malczeki akademik utonąłem w nim jak mucha w miodzie i dosyć miałem okradzioną minę. Do panien nie podobua się było zbliżyć, bo oficerowie i urzędnicy zabrali wszystkie, zostawały mi do wyborn stare od czterdziestu do pięćdziesięciu lat mężatki, jeszcze tańcujące i na głodny ząb uchodzące, lub trzynastoletnie dziewczątka, które już udają starsze, a na prawdę umieją być zalotne, choć o ich chude łokeie ukłnąć się można.

—A! jaki paradny! zawołał rozweselony Baltazar— ale po cóż tam chodzisz?

—*Trahit sua quemque voluptas*, szepnął Cyryll ostróżnie.

—Słabość nie nleczona, rzekł Konrad, lubię świat i uczę się go, a żadna nauka nie przychodzi bez pracy i zawodów, świadkiem kochany Cyryll, który nie raz dobija się zajadle dzieła in folio, najpiękniejsze na niém pokładając nadzieję, chwytając je, niesie, otwiera i znajduje...

—Wielkie nie!

—I dla takiego nie, ty poświęcasz Konradzie wieczór w gronie przyjaciół i kolegów!

—Cóż chcecie? pijacy idą do szynku? nie prawdaż?

Przyniesiono Konradowi wyszywany jego szlafrok jedwabny, krymkę haftowaną wzorzysto i paradny bursztynem sążniowym ozdobny cybuch, a w stroju tym nowym zasiadłszy wygodnie na sofie, począł mówić, weale się już prosić nie dając.

—Co do mnie, rzekł— z poprzedniego znacie mnie już zeznania, lubię świat z jego ułomnościami, jest to zły nałóg jak inne, ale okupuję go szczerze przyznając się do błędu. Nie sądzicie jednak przeto, żebym się kochał w świetcie jakim on jest. Potrzebuję przerobienia i lada dzień dadzą mu formę nową; potrzebę tę czują wszyscy, zgadzają się na nią, oczekują jej, ale korzystają z *interim*.

Wszystko bo jest do góry nogami... dowiodły to świeże pokuszenia reformatorów, których głos choć przeszedł niewysłuchany, nie może bez owocu pozostać. Ludzkość jest chora, lekarza szukają, ale się dotąd żaden nie zjawił, kuracja może być trudna, bolesna, bo słabość zapuszczone, ale nie zrozpaczone.

Według mnie, dodał stanowczo udając więcej pewności nizeli jęj miał w sobie— nie ma lepszego pomysłu nad zrównanie ludzi wychowaniem i sprowadzenie ich do jednego pośredniego mianownika. Wypędzić lub poobeinać skrzydła genjuszom, wielkich ludzi poprzycinać do miary, wyrównać wszystkich w jeden szereg, a potem... reszta pójdzie najłatwiej.

Przeszkodą do wszystkiego są to niespokojne umysły, co się puą nad inne i niepotrzebnie nami wstrząsają; poetów jak Plato, wyganiam z mojęj republiki, retorów także, by darmo nie broździli, wszelką wyższość topię, ścinam, eliminuję, i dopiero poczyną się utopija moja, gdy człowiek do człowieka podobni będą jak dwie kropli wody.

Naówezas nie ma już nic trudnego— jedną polewką karamię naród cały, jedną dlań suknię kroję na warsztacie, jednakowe cele buduję dla wszystkich i największą zaprowadzam równość, a razem zbawienną władzę dyktatorską, któraby to w karbach trzymała.

Możesz być co szczęśliwszego nad tak urządzoną ludzkość?

—Przyznam ci się, żebym do niej należeć nie chciał, rzekł śmiejąc się Longin, zaraz bym przeciw tobie bunt podniósł...

—Nimbyś o nim pomyślał jużbyś był wyeliminowanym, odpowiedział Konrad— ja odradzam społeczność takim wychowaniem, które doskonałą równość zaprowadzi, nie dałbym ci więc wyrość na oponenta i wiehrzyciela, a gdybyś się nie chciał poprawić... ha! są i na to sposoby!

Nielitościwie śmiać się poczęto z téj nowój rzeczypospolitój Konrada, który się wcale nie zmieszał.

—Żartowałem, rzekł, jest to sobie tak utopia cellularna... jak inne... ale u mnie się ich do tuzina znajdzie na usługi wasze... Tak! już to prawda! zrównać ludzi trudno, ale jest na to inny sposób— zawsze jednak na tém oparty, aby nikomu osobistój nie zostawiać swobody, wszystko ująć w kluby sprężyste, ścisnąć i kierować każdym ruchem... dla szczęścia i pomyślności ogólnej. Dziś ludzie idą samopas, każdy sobie, potrzeba dozoru i władzy, dla szczęścia, zawsze dla szczęścia wszystkich... ludzie są dziećmi...

—Ale któż będzie nauczycielem i wodzem, kiedy wszyscy dzieci? zapytał Baltazar.

—Dójrzałsi i— system, raz tylko niech będzie system...

—A któż ma zbudować tę arkę zhawienia? te same dzieci?

Konrad mocno był zakłopotany, pocierał czoło i dumał.

—Zbijacie mnie, rzekł, nie mogę myśli rozwinąć, oczéwście są jeszcze w tém wszystkiém pozorne sprzeczności, nie donosiłem tych zarodków idei— poczekajcie.

Zresztą ludzkość idzie wedle danego prawa ku czemuś co jéj jest przeznaczoném i trafi na drogę prędzej później, w danéj ku temu godzinie. Całe dzieje są historią wysiłków jéj dla trafienia na tor prawdziwy, zakryty, ale istniejący. W swéj drodze jak obłąkany podróżny w śnieżystą zamięć zimową, przechodzi ona i mija gościniec, wchodzi nań znów i znów się zbija...

—Ale czemuż nie ma tego rozumu, żeby jak podróżny, rzekł Longin, spuściła się na instykt koni.

— Bo chodzi piechoto! przerwał Baltazar śmiejąc się— nieprawdaż?

— Para dobrych szkap zbawiła by ją, tę biedną ludzkość! dodał ktoś po cichu.

— To jest... instykt... wytłómaczył Longin, ale cóż, kiedy Konrad jak widzę wierzy tylko w rozum ludzkości, a dopiero na ostatku z biedy instykt wiedzący ją przypuszcza, i to nie będąc dobrze pewien czy na niego rachować można w ciągu drogi.

— Ot wiesz... kwitujemy cię już z utopij twoich, dodał Baltazar, powiedz nam lepiej co dla siebie samego i z sobą czynić zamysłasz?..

— Jeżeli na twarzy świata starój i pomarszczonój nie się nie ma odmienić, zawołał Morus, a wszystko ma zostać po staremu— cóż ja mam pragnąć dla siebie? Nie tak dalece wielkiego i niepodobnego?.. ot... ładnej, bogatěj i dobrze urodzoněj panny za żonę...

— Nie byłby Polak, naprzód podwika! rzekł Longin.

— Nie przeszkadzajże... mówił Konrad... do tego z wielkim posagiem... bo to fundament... ze stosunkami... z...

—A nadewszystko z posagiem!— zaśmiał się stary medyk.

—Dalej *et cactera...* Nic jestem gorszy od innych, los niepowinien mi odmówić tego co drugim hojnie ndziela, trochę szalu w młodości i trochę na starość rozumu!

—Ostatnie wątpliwe! dodał Longin po cichu.

—Trochę majątku... jaki tam jeden biedny malutki milionik, nie więcej— stosunki miłe, sąsiedztwo przyjemne... co dwa lata powozik z Wiednia, domek jak z igły, możność dania czasem baliku lub wieczorku... at! marności światowe!

Radbym mieć i kucharza francuza, potrzebuję biblioteczki, muszę mieć gazety, nie lubię się nosić niedbale, wszystko to są rzeczy bogatym właściwe; pragnę więc logicznie, jeżeli reformy moje nie przyjdą do skutku, mamony jak inni, bez której nic... a że jej z gustem użyć potrafię... za to ręczę.

—I ja za gust ręczę, za rozum nie tyle, dodał niełitościwy Macedo, ale to już rzeczy nie ciekawe co dalej, poziome masz pragnienia i do zbytku pospolite żądze, możesz łącno dopiąć celu

złannawszy jedną główną trudność... oto, ożeniwszy się bogato, znakomicie, a w dodatku z osobą młodą i piękną... Gdybyś z tych warunków nieco spuścił mógłbyś ci wyprorokować nieźle, mimo twoich oczów...

—A cóż moje oczy? krzyknął Konrad.

Cymbuś się rozśmiał w kącie nadto głośno—bo już był powrócił z kotletami, które w piecu odegrzewano.

—Oczy? jużież kłóć się trochę, odparł Longin nieustraszony—ale masz młodość, dobrą minę, wymowę i francuzeczyznę, tańcujesz, nazywasz się niebrzydtko, za to wszystko mógłbyś coś utargować, tylko znówu nie tak wiele... Ale musisz się zaprzedać!

—Za pozwoleniem, przerwał pierwszy—jużież i nie sprzedając się mogę sięgnąć tam gdzie drudzy?..

—Sięgać nikt nie broni, ale dosiądz trudno, odpowiedział Baltazar—ręce jegomość masz krótkie, a pragnienie niemiarkowane...

—Wieczór dzisiejszy niech ci da miarę świata i tego co cię na nim spotkać może...

—O! ten przeklęty mundur, to do wszystkiego zaporą, zawołał Konrad, jemu przypisuję całe moje niepowodzenie w salonach. Bo cóż on mówi? naprzód świadeży dobitnie o niedojrzałości, powtóre, znamionuje podległość rodzicielskiej władzy, potrzenie odkłada ziszczenie wszelkich nadziei najgorętszych na lat kilka, bo akademiicy nawet żenić się nie mogą...

—Ale bałamucić się mogą! dodał Teofil.

—Słowem, ten mundur jest to jak pasek dziecinny, dowód, że się jeszcze chodzić samemu nie umie...

—Jednak gdybyś był nieco skromniejszym w żądaniach, przerwał Baltazar, wskazałbym ci osoby, które na zaletach munduru i młodości się znają i cenić je umieją—są to wdowy nieco letnie, damy podżyłe, pragnące się odegrzać wedle metody króla Dawida, i tym podobne istoty. Gdybyś tylko z młodości i piękności kwitował, mógłbyś się zaraz, nawet weale nie źle umieścić.

—A tak! bardzo dziękuję! rzekł Konrad.

—No! i dalej nie masz-że już nam co powiedzieć? spytał Longin— a zatém, Cymbusiu szanowny, w antrakcie dawaj wieczerzę, a gorąco na stół wedle przepisu...

Wystąpiły więc owe kotlety z cytrynką, na które zgłodniałych nie potrzeba było prosić, bo ukazanie się ich było zarazem znakiem zagłady, mignęły jak błyskawica i poszły jako cień, wedle przepowiedni Longina, rozchodząc się na miseczki i obchodząc bez usługi widelców, bo Bóg, wedle znanego przysłowia, pierwój stworzył palce niż widelce.

Baltazar, który, jak się zdaje, najciekawszym ze wszystkiego był kotletów z cytryną, zaraz po nich wyniósł się po cichu chwyciwszy za czapkę, a pozostali gotowali się jeszcze wysłuchać Teofila i Jordana. Pierwszy z nich łatwy był do odgadnienia i nie wiele mógł powiedzieć, drugi mógł wysnuć z siebie całą przędzę różnobarwną, którą kawałkami już znano z codziennych jego wykrzyków... i byliby ich towarzysze pokwitowali może ze spowiedzi, ale nie wypadało wzgardzić tak niemi, wieczór był długi, czasu dosyć na wyznania; dopominano się więc zaległości.

—No! Jordanie nieboże, rzekł Longin promo-

tor, gdy znowu sprzątnąwszy jadło zasiedli na sofach— przystępuj do rzeczy.

—Cóż ja wam powiem? odparł żywo zagadniony— toż samo pono co drudzy? nie jednoż sni się nam wszystkim? każdy z nas zdobyweą wychodzi na świat, choć nie jeden żebrakiem powraca, nazwaliście mnie już Krezusem *in spe*, to wszystko zawiera w sobie. Chcę tylko pieniędzy i to mieć będę; gdy je pozyskam, jak użyję, nie wiem, ale przedewszystkiēm grosza pragnę, tego nerwu wojny, którego do walki życia nie można mieć nigdy nadto.

—Ale nam przynajmniej powiedzieć możesz jak go myślisz zdobyć i którędy poń pójdziesz?

—Na jednēj siedziemy ławie i zdaje mi się, że podobną z Longinem iść myślemy drogą, odparł Hruszka, ja sobie obrałem także prawo.

—A myślisz iść w lewo, bąknął Longin.

—To pewna, że użyję wszelkich środków jakie są tylko w mocy człowieka, aby naszemu imieniowi stary jego blask przywrócić.

—Wyzłócić je chcesz na nowo jak starą chochlę, rozumiem, przerwał antagonistą.

—Wszyscy pięknie umiecie mówić przeciw

groszowi, o pogardzie złota, poeci śpiewają pioruny rzucając na *sacra auri fames*, wszyscy przecież na głód ten chorują; jam tylko szerszy od drugich i powiadam z góry—złota! złota i złota! Muszę je mieć, będę je miał, zacznę od miedzianego grosza, od szelągka, od dydka... będę skapił i ciułał, zbierał i chował, wydzierał tym którzy użyć nie umieją. Każdy z was czegoś żąda jednego i jednym się ogranicza, ja wszystkie chcę i łaknę bez końca—grosza naprzód jak podstawy, sławy potem, imienia, znaczenia, stanowiska... wszystkiego co świat dać może.

—No, a środki? spytał Longin, ja otwarcie powiedziałem, że myślę iść przebojem.

—Na co, kiedy można uniknąć walki? uśmiechnął się Jordan,—są środki inne a równie skuteczne, na ludziach wszystko wyrobić można pochlebając ich słabości—śmiejąc się z nich za oczy a głaszcząc ich konika; każdy go przecie ma, nawet ty, Longinie, którego w danym razie wziąłbym jak swego admirać twój siły i potęgę. Nie ma bezpieczniejszej nad to drogi, serca nie knpują się inaczéj jak poznaniem ich słabostek—każdy je ma, chodzi tylko o to by zna-

leżeć tę piętę, która czasem jest piętą a częściej sercem lub głową...

Któż mi zabroni potém szydzić z nich, kiedy tak na to sowicie zasługują? Za cóż się nam bić, gdy mogę spokojnie wziąć to o co ty będziesz się mnsiał walką okrutną i krwawą dobijać? Nie odrzucam ja wojny, ale wierzę w dyplomacyą... życia. Często niezwyciężony na ręce, da się uchodzić jedwabnemi słowy,—im kto głupszy tém łatwiej, głupich zaś *infinitus est numerus...* *Mundus vult decipi, ergo—decipiat.*

Zresztą czego wy chcecie odemnie? rozwińcie sobie ten temat, ja do długiego gadania nie przywykłem i znajduję, że słowo wyrzeczone jest użytą siłą, odbiera moc do czynu potrzebną: kto mówi ten już nie robi, milczący tylko działają.

Spójrzeli na siebie z Longinem jak dwaj zapaśnicy, może pomyśleli—kto wie czy nie spotkamy się na świecie z dwóma rodzajami broni?—i Longin zamilkł zamyślony, znać pocznwszy że oręż nieprzyjaciela nie był do wzgardzenia.

—Kto wie? szepnął po chwili—kto wie? może coś być z niego?

—Więcej się już ze mnie nie dopytacie, prze-

rwał Jordan, i tak wielem uczynił, żem się na tych kilka słów zebrał... słowo, które jest nasieniem czynu, nie powinno się rzucać bezmyślnie, szkoda go, czysta strata... Tcofilu, dodał, tyś ostatni, ciebie słuchamy:

Conticuere omnes intentique ora tenebant...

Inde thoro pater Aeneas sie orsus ab alto.

—Zostawiliście mnie sobie na zakąskę, zawołał Tcofil z westchnieniem, ale znacie mnie nadto, czego dziś miałem dowody, bym przed wami spowiadać się szeroko potrzebował. Nie wiem czém, a pragnąłbym być czémś wielkiem, podnieść się nad tłum, uczynić coś znakomitego, zasłużyć się ludzkości i marnie żywota nie spędzić...

Ale w duszy mojej są żywioły wszystkiego... nasiona mnogie, i w niepewności wielkiej czekam chwili natchnienia,—które nie przychodzi.

Do piersi chciałbym przygarnąć świat cały, pochwycić wszystko, objąć, ovladnąć, a wybrać sobie nie umiem... powiadacie mi żem poeta; ja

sam nie wiem jeszcze, ale czuję że mógłbym być może poetą...

Za malém znajduję życie, za krótkimi lata nasze na to, co mamy przed sobą do zrobienia— bo cóż można z wiedzy ludzkiej wyłączyć? co odepchnąć? co nazwać niepotrzebném? Uśmiecha się wszystko, każdy stan ma wielkość swoją, swój urok, i chwilę złocistą.

—I jesteś jak ów osioł w bajce, dodał Longin, który między dwóma miarkami owsa zamięra z głodu, nie mogąc się namyślić czy z prawej czy z lewej pochwyci?...

—Wolę być tym osłem, niż ograniczyć się jakimś ciasnym, malczukim wydziałem, jak wy, którym wystarcza staranie o chleb powszedni... i jedna ścieżka przez świat szeroki.

Nie znam siebie, ale mnie nęci wszystko co otacza... Pogląd na świat budzi we mnie artystę, piękność przemawia do cerea, rozumiem język jej i chciałbym nim mówić, klękam przed obrazami malowanymi ręką Bożą i arcydziełami stworzonymi dłonią człowieka.

Czuję że schwyciłbym myśl z tej nieśmiertelnej twarzy stworzenia i użyć jej potrafił jak gło-

ski alfabetu mojej duszy. Patrząc na Venns Medycejską, rozumiem jej twórcę i pragnę mu dorównać, przed Transfiguracją Rafaela, pojmuje kochanka Fornariny i zadanie jego życia, którym był ideał niewiasty świętością i dziewietwem promieniejący; z Michałem Aniołem rozumiem że wyraz siły jest potęgą i jednym z obliczów piękności; — Boucher zachwyca mnie pasterkami swemi, Flamandczyk swą krową tak żywą, że prawie tęsknotę bydlęcą pozuwamy patrząc na nią i-ryzczyć się z nią chce razem. Otóżem artysta, wołam i myślę, że nim jestem.

Ale idę do Kościoła i gdy się modlę przed obrazem, który we mnie wywołał pragnienie utworzenia arcydzieła — śpiew słyszeć się daje, płyną dźwięki poważne! To stary Haydn! to siedm słów Zbawiciela, które mistrz swemi siedmią nieśmiertelnemi Sonatami wyraził tak potężnie... Słucham i zapomniałem o malarstwie. Jakże nie zapragnąć być tak prostym i wzniosłym jak on, i przemówić tak do ludzkiej duszy by z niej dobyć same najczystsze uczucia, same natchnienia najświętsze?

Z Haydnem ja nim jestem i nim być chcę tyl-

ko... ale tuż odzywa się Mozart i różnobarwna jego lira mnie zachwyca, chciałbym tak wylać mój smutek jak on w *Dies irae dies illa*, takim finałem jak Don Żnana odmalować burzę wstrząsających mną namiętności, taką uzyskać potęgę i dzielność, jaka jest w jego symfoniach; tak się stać jasnym i pojętnym przy genialności jak on...

Z Bethovenem schodzę na padoł płaczu i cyrk męczeństwa, pomiędzy ludzi;— ten mistrz boleści ludzkiej i namiętności zachwyca mnie siłą, wdziękiem, różnaitością, fantazją, sercem, które drga w każdym jego dziele, dziwactwem nawet, które maluje, co się w tej duszy utrapionej i zboleiałej kryło... Oto jego Adelajda, świeża cała jak kwiat wiosenny, oto septnór, cały świat tonów ze swą tęskną pieśnią w pośrodku i walejącą seherzo;— oto kwartety misterne, i Chrystus na oliwnej górze... z przerażającym marszem przybywających z Judaszem żydów— oto Sonata Księżycowa, skarga duszy niewieściej cicha i łzawa... z początku... zakończona lawiną harmonii, oto tysiące marzeń, poruszeń, cierpień, wykrzyków oddanych z nieporównaną energiją w Symfoniach; oto całe życie ludzkie i całe cierpienie

ludzkości w dziele jednego człowieka... Nimbym chciał być znówu, ale nie wielu dano Beethovenem zostać! zdumiewa mnie kunsztem Bach, mistrz formy wykwiśnięj, zachwyca Pergolese, unoszą na chwile Spohr, Schumann, Meyerbeer i wesoly a łatwy na pozór Rossini, biorący życie z najpospolitszej, powszedniej strony, a umiejący podnieść je do ideału... Klękam słysząc Chopina i modłę się jego tęsknotą... ale przed nim czuję, że nim być nie mogę, że on jeden się sobą urodził. Schubert mnie rozławia, Weber porywa duszę, widzę Wertera i Lotchen, tańczących tego walca, w którym puls całych Niemiec takt wybija... Kimże tu być? co wpierwój wykrzyknąć? tęsknotę czy radość? gdy wszystko jest we mnie i modlitwa i pieśń i wesele i rozpacz, i hymn tryumfu i krzyk bóleści?? milczę i płaczę, niemołny i skazany na męczarnie nieme.

Nie to... to dopiero jedna strona kalejdoskopu świata, tak samo ciągną mnie wszystkie... nauka swemi przepaściami, filozofija głębiną czarną, religija extazą mistyczną, czynny żywot walkami dni powszednich i nienastannością boju; błąkam się, klękam i płaczę. Byłbym szczęśliwy, gdyby mi

Bóg dał jedną wyłączną namiętność i kierunek, a zamknął powieki moje na resztę świata, gdyby mi wydzielił u tego stołu miejsce i pokarm, a nie przywiódł przed zastawioną ucztę, która nęci głodnego tysiącem barw i zapachów...

Wy się uśmiechacie ze mnie, lecz to śmiech dziecinny; gdybym się urodził w wieku Arystotelesa, kiedy cała umiętność ludzka zmieścić się mogła i w jedną głowę i w jedną księgę, kiedy umysł jeden mógł uporządkować owoce doświadczenia wieków—byłbym tym szczęśliwym może co zarazem zwierzęta na klasy, poezję na rodzaje i politykę na rozdziały rozporządził, co logikę i historię naturalną, muzykę i historię ujął w jedne kluby. Lecz gdzież dziś umysł co by wszystkiemu wystarczył, wszystko objął potężnie i panować mógł wszystkiemu? Jestem więc skazany na wiekuiste męczeństwo i pośmiewisko ludzkie.

Stan mój duszy opłakany, a przyszłość czarna i smutna, wечно za czém tęsknić i czegoś pragnąć, i żałować i rzucać się a nie dojść do nieczego, a z każdego szeregu być odepchniętym jak przybłęda...

Bo nie mi na długo wystarczyć nie potrafi, i w każdej głębinie dno widzę, i nieość w każdym kątku... W pierwszej chwili zachwycają mnie blaski—zaraz potem widzę tylko ułomność. Po siedmiu słowach Haydna, słyszę już jego kwartet ubogi i zużyta formę jego fortepianowej sonaty, Beethoven mi się powtarza i niecierpliwi pokuszając się o fugę niedostępną dla niego, w Michale Aniole dostrzegam gwałtowność naprężenia niemal śmieszną, w Mozarcie słabość i zużycie, w Rafaclu chłód i jednostajność, w nauce wszędzie niepewność, w filozofii sztuczną zabawkę.

—Jesteś jednem słowem najnieszczęśliwszym z ludzi, ale poetą, rzekł Longin, to jest *inutile pondus terrae*, do niczego nigdy nie dojdiesz, nie nic zrobisz, i co krok omyłki stawieć będziesz tylko.—Masz-że co więcej jeszcze? zapytał.

—Żale, rzekł Teofil, nie tylko żale; przyszłość mi się nie uśmiecha, bom w wiecznej z sobą niezgodzie i sam nie wiem czego pragnę...

—Nie wieleśmy się od ciebie dowiedzieli, dodał wstając i ziewając szeroko Aleksander Macedoński—ale to nas pocieszać powinno, że ty

nie wiele więcej wiesz o sobie, dałeś co mogłeś, a grosz wdowi wystarcza...

Gdyby też — dodał śmiejąc się — dla ukończenia tego wieczora powszechnych spowiedzi, zaprządz do niej i Cymbnsia? Coby to on nam powiedział.

Ledwie się z tém dał słyszeć Longin, gdy okrzyk ogromny obudził drzemiącego chłopaka i wszyscy porwali się z miejsc swoich otaczając go i nagłąc oto czego zupełnie nie rozumiał. Odskoczył w pierwszój chwili od samowara, przy którym nieodstępnie stać przywykł jak na straży, i gdy mu wykladać chcieli, czego wymagano po nim, nie dawał przystępu do głowy tak dziwnemu żądaniu.

—Widzisz, rzekł mu Jordan, każdy z nas tu dziś wypowiedział czego chce, i jakie sobie w przyszłości życie obmyśla, gdyby mu losem rozporządzać było wolno, czyż ty byś nie potrafił odpowiedzieć czego ci się zachciewa? co ci się uśmiecha?

—E! rzekł Cymbns drapiąc się w głowę — to byście się panowie śmieli ze mnie.

—Ale nie! nie! mów śmiało, czego sobie życzysz w przyszłości?

— Już to naprzód, z tego Wilna powrócić co najprędzj do domu, proszę panów, odehrzćkując · dodał Cymbuś, który nabierał odwagi, bo, jak Boga kocham, ja tu nie wyżyję, panowie mnie zamęczycie.

— A potćm? spytał Longin.

— No! to będć odpoczywał! odparł nieszczęśliwy z westchnieniem.

— No? ale jakże?

— A! jak! na piecu! rozzmie się że na piecu! mówił ożywiając się Cymbuś... pan mógłby mi dać chatę i ogród, a rozpatrzywszy się, może bym się z Motrnuką ożenił, kupił bym parę szkap u Lejzera... i furmanował... ot po wszystkićm.

— Jakże! to tak mało pragniesz? nie więcćj?

— A cóż ma być więcćj? rzekł chłopak— że bym był bogaty to bym pewnie nie nie robił, a chłopea bym trzymał żeby go za uszy krćcić... ale bogaty nie jestem i nie będć.

— A chciałbyś być bogatym?

— Tak bardzo to nie! bo zaraz potrzeba ubierać się porzadnie i siedzieć wyprostowanemu, a mnie to na co? Trochę żebym miał, a mógł na piecu spać do syta...

—A w lecie?

—No! na słońcu naturalnie! rzekł zziębły sługa.

—A więcej?

—E! mndzisz bo pan? co więcej! na co więcej! Motruna by jeść gotowała... ze słoniną... kieliszek wódki by się znalazł przed obiadem... czasem w niedzielę nalówka... a wnukom bym zakazał żeby do Wilna nie jeździli i akademikom nie służyli.

—Tak ci to już dojadło?

—Jak nie miało dojeść? Ta to męki wiekui-ste! Jacy to ludzie w tym Wilnie! niech ich kaczki zdepezą! ani się rozmówić, ani poprzyjaźnić!—Śmieją się... nikt nie spojrzy... nie zaga-da... u nas na wsi lepićj...

—Otóż mamy i marzenia Cymbusia i piec, odpoezynek, Motrunka, słonina... posądzam że ta Motrunka musi być rumiana i tłusciuchna jak pączek dziewczeczka.

—Aha! aha! jak pan zgadł, rzekł śmiejąc się i poruszając gwałtownie Cymbuś, żeby pan ją widział! Ale, lepićj żebyście panowie jój nie widzieli... śliczności dziewczyna... a dobra!!

—Wcale skromne marzenia, dodał Longin, ostateczny ich rezultat — używanie bez pracy... Gdybyśmy my z równą naiwnością wypowiedali się wszyscy z myśli naszych, można by życzenia nasze do tegoż sprowadzić mianownika... W życiu tylko szersze zakreślamy granice, a że wiemy iż pracą je okupić potrzeba, naprzód robimy wybór pracy, jaka się nam zdaje najlżejsza i najlepiej do serey przypada. Cymbuś przypuszcza żeby furmanował... Wszystko i zawsze jedno, a człowiek pod sukmaną i w jedwabnym szlafroku Konrada, *mutatis mutandis*, sukmanę na szlafrok *unus et idem*.

—Północ! zawołał wstając Albin.

—Godzina npiorów i widziadeł! dodał Longin... Chodźmy więc, i tak już dosyć balammetwa tego, na któreśmy tyle czasu daremnie stracili. Cała korzyść, że się może koniu choć przyśni co npragnionego, a Cymbusiowi cień różowój Motrunki! *Utinau!*

Od takich to marzeń poczynwały się pierwsze lata pobytu w Wilnie, ale pasmo wątle tych snów

złotych, choć się prawie do wyjścia na świat ciągnęło, zrywali je i plątali później ludzie, wypadki, doświadczenie, zawody... Każdy doznał nśeisku rzeczywistości, który na nim swe piętno wypalone jak czyscowej duszy dotknięcie— zostawił.

Już nawet w tych błogich latach snów i marzeń poczęły się micszać szyki, musiano rachując się z przyszłością wysnioną po troszę z niej ustępować. To co się z razn wydawało łatwém, dostępném, blizkiém, cdbiegło, podrosło, niepoehwyconém stało, posmutniały twarze i serea nieco ostygły. Ale młodość ma w sobie tę siłę gojącą, która blizny duszy jak rany ciała wprędce zaciąga i zamyka;— wczorajszy dzień nie zrażał do jutra, ani dlań był prorokiem...

Po chmurec przelotnej, świeciła znouu pogoda, a każdy grzał się na swém słońcu, nie przypuszczając by burza przyjść mogła.

. Może najpewniejszym krokiem postępował powoli coraz dalej milezający Serapion, który pojął od razn życia zadanie i to co ono dać może, najcierpliwiżej znosił walkę, najspokojniej podołał zawodom przewidzianym.

Nanka szła mu łatwo, a choć sam charakter i skromność nie dozwalały mu wyjść naprzód i innych prześcigać, wkrótce na jego wartości wewnętrznej poznali się wszyscy nauczyciele i współuczniowie, pokochali go jedni, uszanowali drudzy. Żadną też płochością, od której nikt nie był wolny prócz niego, nie skaził się w ciągu cierpliwych lat nauki, na chwilę nie nstał w pracy, nie zwątpił, nie opadły mu ręce.

— Albin, wierny przyjaźni, którą powziął dla niego, wciąż go miał przy sobie, a choć to położenie przykrém było dla ubogiego, stosunki ich tak były braterskie, że Serapion nie poczuł się nigdy iż był na łasec, owszem Albin się miał dlań za obowiązane. Sam Mileczek powoli znalazł sobie sposób zarabiania na skromną odzież i książki, a mieszkając przy Albinie, poświęcał się dlań, był mu pomocą i przewodnikiem i nie mógł opnieść tego, któremu przyjaźń jego stała się pocziwym nałogiem.

On jeden przystał najlepiej téj naturze dziewczęcej fijołka, którą raziło lada ostrzejsze słowo, uśmiech wątpliwy, obejście szorstkie, nieostróżne dotknięcie. Potrzebował on takiej łagodnej, chrze-

ścijańskiej, nświęconej duszy, jaką była Serapiona, aby w nią mógł przelać swą tęsknotę, z niej pokój zaczerpnąć i nie wystawić na pośmiech łez, miłości swój i marzeń dziewiętych.

Inni towarzysze, choć ich kochał, choć go kochali, ranili go często mimowolnie słowem nieopatrzniem, a ta sensorywa czuła każde najłżejsze draśnienie i ciężko je odbolć musiała.

Albin tęsknił za domem, matką, Anną i spokojem, jedyuym środkiem rozrywki były dlań książki i nauka. Wpływ ich jednak na niego był nieznaczny, kształcił się, ale w kierunku własnym wybierając to z owoców umysłu ludzkiego, co do serca jego i usposobienia najlepiej przypadowało. Zachwycali go poeci, ale zwracał się raczej ku starym niż nowym, więcej ku francuzkiemu idealizmowi, niż do nowszej szkoły niemieckiej szczepiającej realizm, który później miał tak przerosłemi chwasty to pole zasiać i okryć.

Po ciele musiał Albin coś pisać, jakieś elegije i sielanki, poemata i ody, ale się z temi płodami muzy nie popisował przed nikim, a Sera-

pion co je sam tylko znał, będąc wtajemniczony, nigdy o nich nikomu nie wspominając, dochowywał Albinowi danego słowa. Była to przyjaźń mikrozerwana i w zgodzie świętej przeżyli z sobą te ostatnie lata próby przedzielające świat od szkoły, tak długie, a tak później wspomnieniem swém drogie.

Longin mniej pilnym był uczniem, ale się wszakże nie opuszczał, bo czuł, że całą przyszłość nosił w tece studenta; ale to była natura dziwna, która śmiałością samą chciała zastąpić wszystko. Śmiano się zeń często, ale to go bynajmniej nie zrażało, i nie poprawiało, na szyderstwa odpowiadał wybuchami gniewu, łajał, gdy czuł, że nie miał słuszności za sobą, potem nazajutrz wszystko było zapomniane, a on dalej szedł swoją drogą. Zdziwili się towarzysze widząc ku końcowi, że nieokrzesany i prostakowaty, potrafił sobie porobić stosunki w świecie, weisnąć się do kilku domów, a co więcej pewną w nich odegrywać rolę.

Kobięty wierzyły w jego genijnsz, który on wmawiał wszystkim, mężczyźni prorokowali mu przyszłość świetną. Świat też wcale go nie o-

nieśmielał, nie odejmował mu ani siły, ani przytomności— salon go nie olśnił, starsi wiekiem i nauką nie upokarzali go swą powagą, cenił ich lekko, a mimowolnie patrząc na to, każdy sądził o wyższość człowieka tak pewnego siebie, w którym nad wszystko górowało zachwalstwo. Raz sobie powiedziawszy, że stosunki z ludźmi są mu potrzebne, gdy się o nie starać począł, nie ustal póki do wszystkich domów, które mu się nastręczały nie wchodził się. Radzi mu byli zrazu czy nie, kazał się prezentować; nie przyjmowany, powracał dziesięć razy do drzwi zamkniętych, z ludźmi się w przedpokoju kłócił, gospodarzowi tłómaczył, że go nie może odepełnić, przymówek nie rozumiał, dwuznaczniki zjadał i raz opauowawszy pozycją, żadną już siłą z niej wyparować się nie dawał.

Dla wielu nieprzyjemnym będąc, choćby mu to kto i powiedział, słuchać i wierzyć nie chciał. Niekiedy zachwalstwo swoje posuwał aż do bezwstydu, ale dozowanych nieprzyjemności mścił się potem uiszcządzając tych co mieli nieszczęście narazić go sobie.

Ronrad zdziwił się zrazu nieźmiernie spoty-

kając Longina w tych domach, do których się on ze swém imieniem, powierzchownością, francuszczyzną, elegancją ledwie dostać potrafił, nie mógł pojąć dla czego przyjmowano go nawet lepiej niż jego. Zrodziła się z tych spotkań jakaś młode nieprzyjaźń między niemi, bo Longin nie oszczędzał go wcale, a Konrad śmiertelną ku współzawodnikowi powziął nienawiść. Nie wybuchła jednak jawnie i po kątach tylko przedrwiwali z siebie, bo walka z Longinem łatwą nie była, a na głębie jego straszno się było dostać.

Powoli niesprawiedliwiając swój przydomek Alexandra Macedońskiego, zdobywał sobie ludzi, i przysposabiał się do przyszłości mając już myśl pozostania w Wilnie, gdzie spodziewał się znaleźć zajęcie jakieś i początek przyszłego zawodu. Ztąd wedle planu zamierzał później udać się do stolicy, był to bowiem właśnie czas i chwila, w której stołeczni pełnomocnicy nie nie robiąc bajeczne zyskiwali fortuny.

O Cyrylu trudno coś powiedzieć, tak nie go lat kilka nie zmieniły,— pozostał wiernym swym książkom i nauce, zawsze z tą maniją bibliofila, która przy nóstwie była dlań największych u-

gręceń powodem. Wkrótce jednak porzucić musiał dom rodziców panny Telesfory, gdzie nie szanowano dosyć ani jego, ani drogich dlań skarbów i nie piękna łapka panny Telesfory odważyła się wydrzeć z biblij Scharffenbergerowskiej kartkę na obwinienie jakiegoś kobiecego cacka.

To barbarzyństwo tak oburzyło Cyrylla, że choć go wszelkimi sposoby usiłowano zatrzymać i wydartą kartę restytuowano pomiętą, ale prawie całą, wyrwał się z domu tego i wyniósł nieco dalej ku miastu na inną kondycyą do bogatego kupca, przy którego symi prawie do końca pozostał. Niemiec umiał ocenić smnienie i pracowitość człowieka, a maniją jego uszanować: dał mu osobny pokój na książki i obchodził się z nim z poszanowaniem jakie należy monomanom nie drażniąc słabiej strony.

Cyryll usposabiał się na nauczyciela i filologa, rozpoczął tłómaczenie Dialogów Platona, rozprawę o systemie klasyfikacyi umiętności Indzkich, i cały pogrążony w nauce, ani się obejrzał jak mu dnie i miesiące po nad głową przelatywały. Czasu miał zawsze za mało, stękał, że mu go na nie nie wystarczało, śpieszył

się wicznie, a chodził zamyślony i przejęty, nie widząc co się w koło dzieje. Był to pewnie najpracowitszy ze wszystkich, ale najmniej umiający obmyśleć przyszłość swoją, o którą nie miał czasu się troszczyć, *in votis* było spokojne gdzieś miejsce profesora, własny domek i duża izba na ułożenie zgromadzonych skarbów, kąt cichy, praca cicha.

Jordan Hruszka w pierwszym roku pozostał u prezydentostwa, a choć codziennie narażany na wejrzenie ślicznych oczek Masi i Ziuni wcale się w żadnej z nich nie zakochał, i nawet znał je mało. Panny te były w ogólności dosyć nieszczęśliwe, i w nikim o ile wiemy nie obudziły gwałtownego przywiązania, choć otaczała je młodzież łatwo się na widok pięknych twarzy zapalająca. Śliczne ich główki parzysto wyglądały z za szybek mieszkania, jakby prosząc o spójrzenie, ale zaledwie się kto ku nim obrócił.— Konrad bywał u prezydenta trzymając jednak zdaleka od dziewczątek, bo dla niego były za ubogie, a nazwisko też nie zdawało mu się dosyć historyczne. Później Hruszka znalazł lepsze pomieszczenie przy bogatym towarzyszu z od-

działu prawa, który go wziął jako pomocnika, repetytora i sekretarza, a że hrabia ów miał wielkie w świecie stosunki, Jordan z chęcią się doń przywiązał, rachując na podporę w przyszłości. Uważano nawet, że jak dla kolegi zbyt był unижony, posłuszny i ostry z paniezem, który go sobie z góry i dość wzgardliwie traktować pozwalał.

O innych nie wiele powiedzieć możemy: nie się prawie nie zmieniło w ich stosunkach i położeniu, w usposobieniu i charakterze. Baltazar pracował ogromnie, a medycyna ciężko mu przychodziła, tak, że często przed examinami do młodszych przychodzić musiał, aby z nimi razem powtarzać, czego sam wyuczyć się nie mógł.

Dzieje téj uliczki nstroméj w ciągu tych lat kilku były jak historia krain szczęśliwych, o których mileżą księgi dla tego, że były szczęśliwe: dzień do dnia, rok do roku podobne były, jak krople wody. Ku końcowi drugiego wszakże, w początkach trzeciego, zaszła mała zmiana nie dostrzeżona prawie w obyczajach Konrada i pięknej Rózi, córki pana Piłsucia. Nie darmo grała tak głośno koncert Hummla i fantazyą

Kalkbrennera, poglądając ukradkiem w okno pana Popicla: Konrad też ku niej powoli zwracać się począł, oczy ich spotykały się, i chwytano eleganta na uczynku, gdy długie godziny w swój krymce haftowanój z cybuchem wspaniałym, spędzał, wpatrując się w rumianą twarzyczkę, wcale tój kontemplacyi upartój nie unikającą...

Jak do tego przyszło, że wielki ów pan i strojniś zniżył się do Rózi córki szewca Piłsucia, trudno wytłómaczyć i zrozumieć; wpłynęły na to rozmaite uboczne okoliczności, a najbardziej to może, że pomimo swych zalet, w saloonach nie doznał takiego, jakiego miał prawo wymagać przyjęcia, młode zaś seree dopominało się kochania, a Rózia rzeczywiście była istotą uroczą i mogącą głowę zawrócić, choć warstat, w którym kwitła okrutnie, odczarowywał i za nogi ściągał na ziemię. Konrad długo się opierał nawet bałamutnemu spójrzeniu, lecz gdy raz bliżej spotkały się ich oczy, gdy jakoś przypadkiem przemówili do siebie, biedak stracił głowę, zapomniał, że pan Piłsuc bóty robił i począł utrzymywać, że familija ta znajduje się w herbarzu niedrukowanym Kojałowicza.

Co jednak najbardziej musiało pociągnąć Konrada, to drobna okoliczność na pozór obojętna, która chwilowo blasku dodała córce rzemieślnika. Rózia grała na fortepianie bardzo dobrze, była to jedna z najulubieńszych uczennic Renner'a, którą ów chlubił się jak przyszłą Szymanowską.

Muzyka jej podobną była do twarzy, głośną, szumną, połyskującą, wesołą, ale nie bez wdzięku;— wielką miała biegłość w palcach, a sztuczki naówczas zaczynały wchodzić w modę, tryll jej drżał jak listek jesienny, passáže przesuwwały się jak równiechne pereł sznury, nie znała trudności i wyrabiała co chciała ze sprężystości paluszkami.

Gdy przyszło dawać koncert na ubogich, a wirtuozek z arystokracji zabrakło, pani Deibel dawną swą zaproponowała uczennicę; dano znać rodzicom, Rózia ucieszona wezwaniem, wybrała sobie ów koncert Hummela *la minor*, który tak często powtarzała, ale z orkiestrą. Matka jeździła z nią na repetycyę, a w dzień występu n-roczystego, szewcówna wystroiła się jak margrabianka. Ojciec musiał kupić nie tylko suknię,

trzewiczki i rękawiczki, ale jakąś bransoletę i szalik. A gdy świeża jak owoc pokryty pyłkiem dziewictwa, rumiana od wstydu, hoża z wesołością na ustach i w oczkach figlarnych, wystąpiła przed licznie zgromadzonych słuchaczów, zachwyciła wszystkich, powitano ją rzesistemi oklaski, a gdy koncert odegrała śmiało i czysto, zarzucono ją bukietami. Musiała później na domaganie się powszechne zagrać jeszcze nokturn Field'a, i oczarowała nim zwłaszcza starych kawalerów. Ten pamiętny wieczór dał jej sławę i wielbicieli, panie nawet winszowały jej, ścisłano biedaczkę, chwalono, zapraszano, dowiadrywano się po cichu o pochodzenie prorokując sławę drugiej Szymanowskiej... Różia pijana szczęściem swém powróciła do domu marząc w drodze świetną partyę i los jakiś niespodziany. Konrad był naturalnie na tym koncercie i dopiero nazajutrz po nim raczył okiem pożądliwości i zaciekawienia rzucić na wirtuozkę, która teraz mniej ku niemu skwapliwie poglądała, bo jej się zdawało, że stu magnatów dobijać się będą o tę rękę, co takich umiała dokazywać cudów... Ale niestety! magnaci pozostali mythem!

Całym skutkiem tego sławnego koncertu, od którego datować poczęto, jak od nowój ery, wszelkie wypadki w domu pana Piłsucia, było to, że do dwóch czy trzech salonów zaproszono Rózię na wieczory, że dwie panie prosiły ją o lekcye, a starzy kawalerowie, gdy szła do kościoła gonili za nią i otaczali jęj ławkę przeszkadzając się modlić chrypliwemi westchnieniami zbolatych piersi.

Między Rózią jednak, a Konradem bliższych nad owe oczne i ulicą przedzielone, nie było stosunków; oezyma mówili sobie wiele, spotykając się witali nieznacznym uśmiechem, głowy skiniieniem, słówkiem urwaném. Konrad obawiał się pisać, a Rózia listu czekała, sama go zacząć nie mogąc.

Skończyło się więc na wejrzeniach, na wzajemném szukanin i częstych spotkaniach chwilowych; Rózia zaczęła grywać częściej melancholiczne nokturna, ostatnie myśli Webera i Beethovena, wale Schubert'a, Konrad częściej w domu i oknie przesiadywał. Śmieli się z niego towarzysze, że zszedł na romans z córką Piłsucia, ale on wypierając się i gniewając jak naj-

moćniej, już cofnąć się nie miał siły— wejrzenie to grzało go jak promyk słońca.

Teofilowi szło najtrudniej i choć dawszy słowo, że na literaturze poprzestanie, dotrzymywał go, męczył się jednak widocznie. Napadały go zawsze paroxyzmy zapału, to do muzyki, to do malarstwa, to do nauk ścisłych nawet— rozpoczynał dzieła olbrzymie, robił studia, ale najmniejsza trudność zrażała go, a żadnego węzła rozwiązać nie umiejac cierpliwie, wszystkie plątał i rzucał. Umysł jego czego nie pochwycił od razu, omijał, cofał się przerażony, a nie przemódz pracą wytrwałą nie potrafił. Widać już z tego było, że Teofil na świecie mógł odegrać rolę bardzo świetną, bo więcej umiał od ogółu, ale nie nie mógł dokazać wielkiego, dla braku wytrwałości i porządniczych studyów. Tak się to przynajmniej wówczas zdawało, kochano go bardzo, ale zawczasu ubolewano nad jego losem.

Biedny Teofil kochał się trochę w Rózi, w Mani i Ziuni, w pannie Telesforze nawet i w Frani córce piekarza, jak w naukach i sztukach,

to jest do pierwszej kwaśnej minki; miłość jego choć wybuchła gwałtownie, trwała krótko i przerażała się w najzupełniejszą obojętność.

Dziwniejszemu dla wszystkich było, że Baltazar zimny i wyrachowany w każdym kroku, chociaż tał się nieźmiernie, zdawał się czuć skłonność ku Frani piekarzance hodować, czyniąc z niej pono ideał przyszłości, która dotąd obchodziła się bez niewiasty. Odkryto tę słabość podtatusiałego mędyka przypadkiem, a Longin pierwszy ją wyszperał. Przechodząc koło sklepiku piekarza, do którego jak się zdaje wstąpił w myśli kupienia bułek raz i drugi Baltazar, uczuł się pociągnięty nieznanym sobie urokiem, i coraz częściej go nawiedzał. Uważano, że niekiedy dłużej nad potrzebę zatrzymywał się na rozmowie z niemeczką. Przyszedł w ten sposób do poufałej znajomości z piekarzem, odwiedzał go wieczorami i zastrzągł nie obraniając się namiętności, której już skutki obliczyć wprzód musiał. Nikt mu nie mówił, że go odkryto i posądzano o widoki matrymonialne, on sam nie bardzo sobie może zdawał sprawę z tego do czego niebieskie oczy Fra-

ni łysinę jego doprowadzić mogły, ale nie zwyciężony rachmistrz, po cichu wszelkie możebności i następstwa przez *plus* i *minus* weześnie wyrównoważyć musiał.

Przeszły uareszeie te lata nanki tak skoro, tak niepowrotnie, że żal po nich zrodził się prawie z kłopotu, który je otaczał, a każdy uniósł wspomnienie drogie choć maluczkie tych chwil uruczonych młodości, spędzonych w giełdzie Teofila, w pokoiku Albina, na przechadzkach po okolicy, na dumanie w ławce... jeszcze dziś każdemu z tych, co w téj uczcie uczestniczyli te lata z takimi szczegółami są przytomne, jakby wczoraj dopiero za nimi zamknęły się wrota snów czarodziejskich. Trudno opisywać to życie bez wypadków, jednostajne, a jednak tak pełne zdarzeń pamiętnych, dla tych co niem żyli; te drobnostki tak wówczas ważne, a dziś tak maluczkie przy poważniejszém i smutném dalszych lat obliczn, co się cierpiało dla jednego zamkniętego lub przysłoniętego okienka, przez ostygnięcie przyjaciela, dla niedocieczonój jakiejś prawdy, z którą się umysł młody pasował i wał-

czył daremnie... Z takich to żywiołów składały się lata nowicyatu, w których mało kto pomyślał i zatroszczył się tém, co po nich nastąpić miało.

Nareszeie wybiła godzina wyzwolenia, swobody, upragniona a straszna, z bijącym sercem, każdy rzucił te sale spokojne, jeszcze drgające echem żywego słowa nauczycieli, żegnając je na wieki, wspaniałą Aulę, lektorya znane, w których każdy miał swe miejsce uprzywilejowane, gdzie widok każdego okna wyfotografował się w pamięci na zawsze... zrzucone mundury uprzykrzone i nastąpiła stanowcza chwila rozstania.

Jakże się tak było rozejść smutnym niepodawszy sobie dłoni? nie pożegnawszy na długo, gdy serce mówiło przeczuciem, że się w życiu nie spotka już może. Uczł nie było sprawiać za co, każdy wyjeżdżał ledwie popłacawszy dług i dłużki, mnóstwo jeszcze rzeczy potrzebując do domu, a nie było czém szafować tak bardzo; więc po staremu towarzysze dali sobie słowo zebrać się na ostatni wieczór u Teofila Sorokowskiego, który przyobiecał herbatę, kasztan-

ny, kotlety, krem nawet od Malinowskiego i pieczeń cielecą, a cybuchów ile ich będzie potrzeba...

Nie był to już ów wieczór gwarny i wesoły marzeń i spowiedzi jakiśmy opisali; każdy na ramionach przynosił troskę jakąś, wszyscy zebrali się smutni, jakby wczesném przeczuciem zawodów przyszłości. Może i rozstanie to nagłe po tylu latach przyjaźni, po przywyknieniu do wspólnego życia, rozerwanie tego węzła, który ich łączył, wpływało na pochmurzenie czół troską jakąś zoranych. To pewna, że w znanéj salce Teofila zebrawszy się jak dawniej, nie znaleźli w niej swobody i wesela, które tu dawniej mieszkali. Sam gospodarz był pochmurny i z żalem opuszczał Wilno pakując nóty, rysunki, rękopisma pozaczynane, poczęte zbiory nankowe, tysiące gratów i fraszek, których miał do zbyt-ku;— powitał przybywających westchnieniem, ścśnieniem ręki milezącém i prawie łzą w oku.

Jeden Cymbus na przekor wszystkim jaśniał, śmiał się i z niezmyśloną radością krzątał się

żwawo jak nigdy, mając powrócić do domu i spo-
cząć na laurach wspomnień! Krzyczał głośno,
potrącał wszystkich, trzpiotał się nieborak i nie
ukrywał z tém, że opuszcza Wilno bez najmniej-
szego żalu.

Tak zwani przezeń panieze nie dzielali wcale
tego uczucia zwierzęcego, każdy tu coś zоста-
wiał, ten cząstkę serca, ów złudzenie, inny na-
dzieję, lub pierwszy zawód w życiu, a wszyscy
wspomnień wiele, tych mogiłek ducha! Przywią-
zujemy się biedni wygnańcy nawet do bruku, po
którym chodzimy.

Wieczór, mimo skromnych obietnic herbaty,
kasztanów i wiecerzy od Malinowskiego, obie-
cywał się świetniej niż kiedykolwiek, pokój był
świeżo umieciony i jedna tylko wytrzęsniona
w pośrodku fajka kalała czystą podłogę służąc
do wybitniejszego ukazania jej świetności. Sa-
mowara pożyczono u gospodarzy, większego niż
zwykle i nie tak krzywo wyglądającego jak co-
dzienny, który już gdzieś spoczywał w kątku
zapomniany niewdzięcznie. W kącie była massa
imponująca talerzy i widelców, a kasztany pie-
kły się w piecyku na wielką skalę... jak przy

uczezie Baltazara... W dodatku był wielki koszt pomarańcz.

Ale to wszystko, teraz już rozweselić nie mogło, rozchmurzyć nie potrafiło. Na twarzy Serapiona zawsze pokrytą jednym wyrazem rezygnacyi spokojnej trudno coś było nad nią wy czytać, ale postawa zdradzała bolesną tęsknotę. Jeden Albin był weselszy, choć tracił przyjaciela, który go miał tylko na pół drogi przeprowadzać, spodziewał się przybliżyć do Anusi, do matki, do ukochanego kątka, do gniazdka przyszłej szczęśliwości.

Longin już był po cywilnemu i rozpoczynał jakąś dependencyą u mecenasa, a że mu się tak udało zaraz wpaść na drogę, tryumfował nieźmiernie, śpiewał fałszywie a głośno, chodził zagłębiany w siebie, niekiedy milczenie przerywając homerycznym śmiechem, a mimo to jednak i w tém sereu samoluba odzywała się tęsknota po latach w kółku młodem przeżytych.

Cyryll nie wiedział co z sobą poczuć, ale miał pozostać w Wilnie z nadzieją otrzymania jakiejś professorskiej posady, ku czemu dopo-

magał mu drugi taki jak on biblioman, stary pocziwy nauczyciel, zawdzięczający mu dokompletowanie *Ogrodu Królewskiego*, którego trzy karty niedostające, gdzieś dlań Cyryll wyszpérał. Taka usługa obowiązywała do wiekuistej wdzięczności.

Bardzo wielu pozrzucali już byli mundury akademickie, które im jak ołowiane okowy ciążyły na ramionach, a Konrad jeden z najpiérwszych przebrał się w tużnrek czyniący honor najpiérwszemu wówczas wileńskiemu krawcowi; było to w swoim rodzaju arcydzieło kunsztu; króciuchny przyodziewek podbity lekką jasną materijką, łączący jak ulany i malujący zgrabną figurkę ze wszystkiemi jój wdziękami zaokrągłeń, wypukłości, oblączystości i t. d. Cudo to widocznie przeznaczoném było na wieś, do kościoła parafijalnego dla upokorzenia i zdumienia wiejskich lwów, którym domowy Lejzerek szył kapoty pod pozorem surdutów.

— Ha! pamiętacie panowie, odezwał się Longin, ów wieczorek nasz u Teofila... *quandam* w czasie piérwszoletności, gdyśmy się tu z nie-dorzecznych marzeń naszych naiwnie spowia-

dali! Otóż przebieżona droga, która wiodła do drzwi tego upragnionego żywota— stajemy u nich, trzymamy za klamkę, chwila jeszcze, a bramy otworzą się na oścież przed nami. Czy dziś jeszcze też same mamy w piersi pragnienia i żądze? czy też sama w sercach odwagę?

Baltazar westchnął nieznacznie— obejrzał się po drugich,— nikt nie miał dawnego humoru, swobody, czuł każdy, że się zamykała ważna życia epoka, a rozpoczynała nowa, do której tamta była tylko przygotowaniem.

— A jednak to smutno, rzekł stary, nawet z biędą się rozstawać! Cóż to za dziecinne uczucie? już ciż gorzej nam być nie może? zyskujemy swobodę, a przecież jakaś mimowolna tęsknota ogarnia na rozjezdnię; człowiek jest za prawdę niepojętą istotą.

— Może nie jeden z nas lęka się dziś przybliżając do krańców, czy przyszłość mu dług obiecany wypłaci? rzekł Albin.

— Tak, a rozpoczęcie walki, dodał Longin zakładając ręce w próżne jeszcze kieszenie— to także nie wesoła rzecz, boć to nie co innego

tylko trąba, gra do boju i wybieramy się iść na ostre walczyć ze światem.

Konrad poświstywał, ale jakoś melancholicznie, jakby z nokturnu Fielda.

— Nawet Konradowi, rzekł szydersko Macedo, przeznaczonemu do wielkich powodzeń na woskowanych świata posadzkach, zbrojnemu w długie już balowe doświadczenie, przysięgnę, że smutno opuszczać okno, z którego na Rózię oglądał i słyszał srebrny jej głos. Prawda, że ni mniej ni więcej szewcówna, ale bardzo ładne dziewczę.

Konrad się zarumienił jak jabłko.

— Ale dajcież mi pokój! krzyknął opryskliwie z oburzeniem— a co mi tam wasza Rózia!

— Naturalnie, to było tak sobie tylko dla przepędzenia czasu, jak P. Baltazar zachodził czasem do piekarza, ale...

Baltazar wstał z sofy zapérzony.

— Takżeście znaleźli mnie czém prześladować? dziewczyną?

— Ludzie są tak złośliwi, dorzucił Hruszka, im aby pozór tylko.

—Ale gdzież podobieństwo? ja? cóż znowu?

—Są gusta różne, podchwycił Longin, a kto lubi świeże bułki, może pokochać tę, co je sprzedaje; zresztą i to dziewczę niczego, a bardzo stateczna, śmieje się tylko do dwunżłotówki, nigdy do człowieka...

—Co do mnie, rzekł Albin powoli, nie żał mi żadnej twarzy, bo jedną tylko wyrytą noszę na sercu i myśli; nie żał mi miasta choć to kołębka długich marzeń moich,—żał mi was przyjaciele dobrzy, nad których wierniejszych i życliwszych nie da mi życie—gdzie takie serce znaleźć jak Serapiona, Teofila, Konrada, was wszystkich? gdzie takie życie, jakieśmy tu pędzili z dłonią w dłoni? A! smutno pomyśleć, dodał—że gdy nas rozpędzi żelazna różga konieczności, już się może nigdy, a nigdy nie spotkamy w życiu!

—Góra z górą się nie zejdzie, mówi przysłowie, a człowiek z człowiekiem.

—Szkoda, że sobie powiedzieć nie możemy... ot za lat tyle i tyle... zejdzmy się znowu i spojrzmy sobie w zbłądłe twarze...

—Prawda! jakby to było ślicznie, dodał Teo-

fil chwytając myśl dramatyczną, wiecie w bajce o królewiczach, jak to tam oni zawsze żegnają się na rozstajnych drogach, i podają sobie dłoń, i przyrzekają za lat tyle a tyle w témże miejscu na dzień naznaczony się stawić.

—Doprawdy! a co za myśl szczęśliwa! gdy-bysmy sobie co podobnego przyrzekli! zawołał Albin.

—No! a dla czegoż nie? podchwycił Teofil—pomyślcie tylko... ja się z góry piszę...

—Myśl święta, myśl cudowna! zawrzał znowu Albin... panowie wzywam was wszystkich do wotowania na nią.—Jaką sobie zakreślamy datę?

Longin się uśmiechnął.

—Prawda, rzekł, spowiadaliśmy się tu przed sobą z nadziei naszych przed kilką laty, powinniśmy, gdy się te ziszcą, pochwalić wytrwaniem i skutkiem. Ale to tak rychło nastąpić nie może.

—No! więc kto żyć będzie za lat dziesiątek!

—Ale gdzież znowu! za piętnaście chyba! rzekł Baltazar.

—A ja mówię za dwadzieścia, zawołał Teofil, daleko to, i kto wie czy dożyjemy téj epoki,

ale kto z nas żyw na świecie się znajdzie, czemużby nie miał przybyć do Wilna na ten sam dzień, w którym się rozstajemy, abyśmy spojrzeli sobie w oczy i zobaczyli, co z nas też zrobiło życie!

— Nieźmiernie poetyczny i młody pomysł— rzekł Baltazar kręcąc głową— ale doprawdy uśmiewa mi się... za lat dwadzieścia! co to z nas będzie? kawał czasu... z niejednego strzępki ledwie zostaną.

— Bravo! wołał Konrad, za lat dwadzieścia, dziś który lipca? piętnasty? dajmy, że piętnasty! Wotujemy więc i poprzysiegamy po upływie lat dwudziestu tych, zebrać się tu na Łotoczek, na godzinę szóstą wieczorem, i ci co żywi będą uścisną się, a za umarłych nabożeństwo odprawimy.

— Ja mam nadzieję, że wszyscy żywi tu staniami... zawołał Longin, jak wyglądać będziemy nie zaręczam, ale któżby u licha mizernych lat dwudziestu nie miał w młodej kieszeni?..

Teofil zatarł ręce z radości.

— Potrzeba spisać urzędownie protokół na tyle rąk, ile nas tu jest i poprzysiądz spełnienie

tęj cudnej myśli... panowie, zawołał z zapalem— słowo! słowo! i jakeśmy wówczas spowiadali się tu z nadziei i marzeń, wypowiadamy się z życia i ich spełnienia, z jego zawodów i boleści... A zatém, wszyscy przyjmują? nie ma więc opozycji?..

—Ja, rzekł Baltazar poważnie, wotuję tylko paragraf dodatkowy, że ktoby nie mógł dla poważnej przyczyny znajdować się na umówiony czas w miejscu oznaczoném, przysze nam spowiedź, to jest *curriculum vitae* na piśmie... mogą być wypadki! potrzeba obmyśleć wszystko!

—Zawsze z rachunkiem! rzekł Longin... ale dotrzymajcież słowa!

Podniosły się ręce wszystkich i żywy okrzyk zaświadczył jak gorąco przyjętą została ta propozycja, która dawała w przyszłości nadzieję uściśnienia ręki przyjaciół raz jeszcze...

Dla tém większej pewności, że się przyrzeczenia nie zapomni, każdy z nich wypisał zredagowany przez Teofila artykuł i włożył go z datą, dniem i godziną przyszłości do pugilaresu.

—A zatém! do zobaczenia... za lat dwadzieścia! uśmiechnął się Longin, radby z góry

wiedzieć kto przyjedzie karetą, a kto z nas przysunie się piechotą!

— A jabym rad przeczuł, dołożył Albin— kto z nas tu tylko przywędruje tęsknym duchem z za mogiły!.. bo śmierć nie oszczędza i tych co są słowem związani.

Rozmawiano tak długo jeszcze, ale powoli wszyscy prawie nagleni wyjazdem i mnóstwem zajęć pilnych, wymykać się zaczęli po wiczerzy, którą gospodarz baczny przyśpieszyć kazał, tak, że Teofil, Albin i Serapion zostali sami... I tym wkrótce słów zabrakło do rozmowy, tak jutrzejsza przyszłość ciążyła już na sercach wszystkich.

O samą północ, wstali z sofy ostatni i podając ręce Teofilowi, który zasmucony łzy miał w oczach, rozstali się z nim powtarzając po cichu...

— Do widzenia! do widzenia za lat dwadzieścia!

KONIEC CZĘŚCI PIÉRWSZEJ.



CZĘŚĆ DRUGA.



Vulnera vitae.
Lucretius.

NAZAJUTRZ ledwie ślady pozostały po dawnych kilkoletnich Łotoczka mieszkańcach, okna Konrada stały otworem szeroko, odarte z firanek jak po pogrzebie,— u drzwi wisiła świeżo przyczepiona tabliczka z napisem:

Do najęcia.

a piękna Róża siedziała na przeciwko, zapłakana, smutna po świeżem jeszcze pożegnaniu... W innych mieszkaniach widać było to krzątanie się żywe, pakowanie, to przybory do wyjazdu—bryki stały w ulicy u bram, ludzie wynosili rzeczy, starzy sąsiedzi przypatrywali się ciekawie.

Teofil smętny siadł do powozu za łzą w oku nie widząc nikogo, choć kilka dłoni wyciągnęły się jeszcze ku niemu i drżące głosy powtarzały ze wzruszeniem:

—Do zobaczenia! do zobaczenia kochany!

Dziwne słowo którym się człowiek pociesza, choć nie wiem czy każdyby je wymówił, spojrzawszy w przyszłość; tak dlań jutro i to co zobaczy niepewne...

Strachem przejmuję wyrzeczone—do zobaczenia, gdy pomyślimy o człowieku—jest ono jakby wyzwaniem zuchwałém, któremu najczęściej jutro uragowiskiem odpowiada.

Cóż mówić o tych śmiałkach, którzy szydząc z przyszłości rzucali, sobie słowo—do zobaczenia! przez głowę lat dwudziestu, gdy nikt niepewien co się z nim i za dwadzieścia minut stanie?

I eicho korytem zwyczajném popłynęło życie? rok za rokiem pociągnęły się nieliczone lata—szybko, powoli, a czasem, w pośród zaprzątnień

powszednich, któremu z towarzyszków przypominała się dana obietnica, termin ów dwódziesto-letni, uśmiechnęła myśl zohaczenia znowu tych z którymi się rozstało w rozkwicie nadziei, i przechodziła jak sen stary...

Każdego z nich porwał wir i uniósł w swoją stronę, tak że wzajem stracili się z oczów, rzadko nawet dowiadując o sobie, a spotkanie za lat dwadzieścia, miało być dla nich nie już starych przyjaciół ale nowych ludzi spotkaniem! Komuż z nas życie dozwoli być tak logicznym, aby po latach dwudziestu stał się tylko dalszym ciągiem tego, co obiecywała młodość?

—Co też on zrobił? jak mu się powiodło? doszedł-li czego pragnął? mówili sobie czasami i nieraz opowiadając dzieje wesole akademickiego żywota przed bliższymi, wspominali im o tym terminie i słowie daném sobie uroczyście, a w miarę jak ta data się zbliżała, nie raz uśmiechnęły się ich usta jakąś błogą nadzieją?

—Ale czy dawna swoboda i wesele odrodzić się mogą choć starzy ludzie spotkają się z sobą? będziez to toż samo?

Stanąż wszysey na stanowisku?

Nareszcie jak wszystko w świecie, przyszedł ów 15 lipca 18... rok i o godzinie szóstej, w pogodny dzień letni, z różnych stron kilku ludzi kierowali się powoli ku środkowi uliczki Łotoczka.

Z miny ich i oczów znać było że już zaledwie sobie przypominali miejscowość, że ich zastanawiały co krok jakieś niespodziane zmiany, że się kierowali z trudnością startém wspomnieniem. nie mogąc wynaleźć na jawie tego co się im żywo jeszcze malowało w sercu, jakoś dziwniej, poetyczniej inaczej.

Uliczka zdawała się im ciasna, brudna, domki małe, horyzont szczupły, okolica smutniejsza, wszystko zbiednione i skarłale. Dwadzieścia lat nosili ten obraz w duszy, nie dziw że tam wypiętuowany na tle jej jasnym nie zgadzał się ze spłowiadłą rzeczywistością; że rzeczywistość ta, którą opromieniało wesele młodości, postarzała teraz i zdrobniała w znużonych oczach...

Pierwszym z tych wiernych słown przybyszów, który stanął przed domem dawniej zajmowanym przez Teofila, był człowiek twarzy zmęczonej, ale

nie stary, chudy, nieco łysy, z wejrzeniem smutném i zubożniałym. Na jego licu weześnie pomarszczoném, łatwo było dostrzedz blizn dusznych, tych *culnera vilae* Lukrecyusza, które z nas każdy nosi na sercu i duszy. Łza wstrzymywana wylała mu powieki, drżały wargi a podniósłszy ku oknom oczy, zagłębiwszy je w ulicę, zapatrzył się długo i tęsknie, jakby pytał:

—Czyż nikogo? nikt-że nie przyjdzie? samże odejdę nie poczuwszy dłoni przyjaciela, nie powitawszy w nikim pamięci lat moich drogich? A złote to były lata!

Wtém oglądając się wkoło i szukając dawnych śladów, naprzeciw siebie dostrzegł zbliżającego się wolnym krokiem z wejrzeniem wlepioném ciekawie, mężczyznę, na którego widok uderzyło mu serce. Oba zmierzyli się bacznie oczyma, nie dowierzając oku... z obawą, z nadzieją;— zbliżający się zwalniał kroku, pierwszy stał niernie.

Drugi ten był spokojnego oblicza, bladój twarzy, podstarzały człowiek, a po długiej czarnej sukni poznać w nim było łatwo duchownego—

kij miał w ręku, malenką książeczkę pod pachą, szedł powolnie nie śpiesząc się, rozglądając bez smutku ale z zajęciem, oczy jego uśmiechały się z wyrazem wielkim słodyczy i dobroci.

Chociaż i na tém obliczu spokojném życie wyryło piętna swych szponów, znać było że rany tu zgoiła i zatarła jakaś siła nadziemską, a teraz pogoda panowała na twarzy poważnej, ułagodzonej, promiennej i czystej jak niebo letniego wieczora. Jakaś aureola świętości opasywała tę skroń wyschlą ale nie pomarszczoną, oczy wypłakane a nie zgasłe, usta w których boleść mieszała się z uśmiechem wyższych już nad ziemskie nadziei.

Ci dwaj Indzie najpierwsi spotkali się u wrót domu, a Teofil poznał w duchownym Serapiona, którego rysy młodzieńcze widać jeszcze było w twarzy już ostygłego i dojrzałego człowieka. Mimo lat i cierpienia, jeszcze w nim coś dotąd młodzieńczego dotrwało.

Teofil daleko więcej się zmienił, a choć wiek nie odebrał mu uroku jaki miało pocziwne oblicze, znać w nim było że z duszy starły się ideały, jak z rysów świeżość lat piéwszych;— każdy fałd

i marszczka zdawały się pamiątką jakiegoś cierpienia, a włos już się zawczasie srebrzył na skroni.

— To ty Serapionie?

— Teofilu? tak jest? Teofil! rzekł poznając go po głosie duchowny— i uścisnęli się serdecznie z tak żywém uczuciem jak przed laty dwudziestn. Była chwila długa wymównego rozrzewnienia, która spoiła wspomnienie dawne z dniem dzisiejszym.

— Jakżeś ty się biedaku odmienił! zawołał Serapion— mój Boże, jak ciężko wyrzyły ci się na twarzy boleści żywota... cierpiełeś mój drogi! a! mów!

— Któż z nas nie cierpiał! dola to nasza! rzekł spokojnie i prawie wesoło Teofil— ale za wiele płaci chwila terażniejsza— a ty? twoja twarz spokojna... dodał Teofil— tyś szczęśliwy, ta suknia.

— Ona ci powie wszystko! jestem sługą Buzym... jak widzisz, odpowiedział Serapion, powołał mnie Pan, a przyszedłem tu z tą samą starą Ewangeliczką, z którą życie rozpoczynałem w poniewierce i ntrapieniu. Niosę ją na świadectwo

mojej zgody i jedności ze starym Serapionem, bałem się, że może wy we mnie nie uwierzycie... Ten sam jestem, bracie! ale gdzież reszta naszej gromadki?

— Wyznam ci, że i ja niespokojny, rzekł Teofil, z żywem uczuciem śpieszyłem tu na miejsce spotkania — nikogoż więcej. my dwaj tylko z ośmiu sprzysiężonych?

Obejrzeni się oba, a wtem trzecia postać z razu nieodgadniona i obca, powoli się ku nim przysuwać zaczęła.

Był to człowiek nie stary jeszcze ale zszargany, bez zębów, przygarbiony nieco, żółty, a na łysiej głowie jego, którą odkrył dla gorąca, trochę poprzyeczesywanych włosów okrywały czaszkę ciasną i lśniąca. Po oczach skoszonych już niestety niewątpliwie, choć je nabrzmiąte i zaczerwienione okrywały powieki, poznać tylko było można elegancika Konrada.

Zresztą, mimo zawczesnej starości i strój i mina wpatrzywszy się, przypominały owego strójnisiarumianego i białego, dziś jeszcze ubranego z pewną pretensją, wyświeżonego, choć powa-

zniej nieco, ale zawsze niezapominającego o sobie.

Konrad miał minę jakby nie z dalekiej drogi, ale z drugiej ledwie przybywał ulicy, ubior miejski, laska w rękę z wspaniałą rzeźbą, wystawującą nagą kobietę i tabakiereczka złoista, buciki lakierowane, strój letni bardzo wygodny, dawały mu pozór odróżniający go od opuszczonych trochę wieśniaków.

Tabakiereczka malutka i skrywana starannie, kazała się domyślać, że tabaki używał tylko jako lekarstwa od bólu i zapalenia oczów... może dodatkowo jako dobrego środka pochwalenia się przy zazywaniu parą wspaniałemi pierścieniami, które dźwigał na wychudzonych palcach.

Człowiek ten nie tyle się jeszcze zmienił, jak ogromnie postarzał, — ostróżnie ujrzawszy dwóch rozmawiających, przybliżył się do nich, spójrział na złoty zegareczek wskazujący szóstą godzinę i poznawszy naprzód Serapiona, z przesadnemi ruchy radości i zachwytnu podał mu rękę, wykrzykując:

— Ojciec Serapion!... to wy!... a! i pan Teofil.

— Jak się masz!

— Jak się macie?

— Otóż i zjedzonych lat dwadzieścia... za drugie tyle dać sobie możemy *rendez-vous* na ementarzu, a żaden pewnie nie chybi, gdy tu jak się zdaje coś nas będzie podobno nie wielu!

Wtém od strony miasta powóz zatętniał na bruku, wszystkich oczy zwróciły się ku górze, a gdy się zbliżać począł, w oknie pięknej karetki podróżnej ukazała się głowa mężczyzny, której zrazu nikt sobie przypomniać nie mógł. Może te ramy karety niespodziewane, w których weale innej wyglądano twarzy, dziwnie odbijając od rysów, nie dozwoliły poznać w przybliżającym się skromnego i cichego Cyrylla.

Możnaż się było domyślać ubogiego bibliofila, dziecię plebanii wiejskiej, w człowieku co tak po pańsku przybywał w karetce angielskiej na miejsce, z którego wyszedł ze skromnym tłumoczkim piechotą?

O kilka kroków od domu, przed którym stali towarzysze dawni, zatrzymał się powóz, otworzono drzwiczki i Cyryll wysiadł powoli, a chwi-

lę popatrzawszy, zbliżył się ostrożnie do kupki rozmawiających, których z żywą ale bojaźliwą powitał radością. I w jego oczach łzy stały.

Ścisnęli się i ucałowali po staremu, a w wejściach wszystkich pełno było pytań i ciekawości—cóż kiedy już życie nauczyło ich nie wylewać się tak żywo jak przedtém, nie spowiadać tak otwarcie... Nie śmieli pytać... usiłowali odgadywać.

—Otóż i po latach dwudziestu! rzekł bibliofil wdychając—patrzcie co za odmiany, na mnie piérwszym...

—A prawda że zmiany, rzekł Konrad, Teofil blady i smętny, ja łysy i bez zębów, Serapion z medyka księdzem...

—A Cyryll w karecie! dodał sam bibliofil i smutnie westchnął machając ręką wydelikacną i białą.

—Większe jeszcze zmiany w sercach, rzekł po chwili—gdzie ta nasza swoboda, wesele, nadzieje... mój Teofilu! gdzie błogie marzenia nasze...

Fugaces labuntur anni!

Łacina tylko jedna, jak widzicie, ze starych rupieci została...

Mówił jeszcze z wyrazem łagodnej jakiejs tęsknoty, gdy z drugiego końca Łotoczka ukazała się postać, w której na pierwsze wejrzenie nikt się ani mógł domyslić starego znajomego i towarzysza. Człek to był dosyć wysokiego wzrostu z głową do góry zadartą, z sękatym kijem w ręku, wyglądający na oszarpanego żebraka, w którego stroju i postawie mimo zuchwalstwa z jakim je dźwigał jeszcze, było coś znękanego ciężko niedołą... Ubiór jego zaniedbany był i brudny, podarty i stary, choć staramie pokrywający nędzę, która przezeń wyglądała widocznie. Na szyi miał chustynkę czarną, zdartą w szmaty i przekręconą węzłem na bok, z pod której nie koszula ale goła szyja, wyschła i pomarszczona wyglądała,— na nogach buty wykoszlawione, spoduie wyszarzane i krótkie, na sobie surdut z powydzieranemi guzikami, czapkę otluszezoną, a cała figura zdala tręciła szynkiem i nędzą straszliwą.

Pomimo widocznego upadku, może z powodu właśnie, że się czuł poniżonym, człowiek ten nad-

rabiał miną szyderską, zdając się uragać światu, losowi i ludzi wyzywać— uśmiechał się gorzko a bezczelnie, stapał zamaszysto i śmiało, niekiedy podnosił czoło chmurne, i usta jego krzywiły się nśmiejchem przerażającym.

Strój i charakter jaki miało to zjawisko, odpychały od niego, nieszczęście bowiem, którego szpony widne były na niém, nie wyczyło pokory, a wywiodło tylko na wierzch co wewnątrz leżało skryte— nienawiść i wzgardę ludzi. lekceważenie ich i zazdrość; w oczach zakrwawionych nie było łez, ale ogień jakiś złowrogi.

Pierwszy Cyryll poznał w tym żebraku Longina, inaczej Alexandra Macedońskiego, co miał świat zdobyć siłą prawicą, a przez lat dwadzieścia nawet pary butów nie wywaleczył. Ale walka ta bezowocowa nie złamała go jeszcze, był w nim jeszcze ten sam, co przedtém, niepohamowany zuchwalec, nielitościwy szyderca. nieuleczony i cyniczny samolub.

— Otoż i ja jestem! — rzekł nadrabiając fantazyą niezręczną i zdejmując czapkę. a oglądając się ciekawie po towarzyszach.

—Fiu! fiu! dodał, jeden z panów karetą!—
Któż taki? Konradzik pewnie!

—Nie, Cyryll!

—Co? Cyryll! nie do pojęcia! on! w karciecie
a ja bez butów lub przynajmniej bez podszew,
rzekł szydersko— otoż to los głupi!— Rozśmiał
się sucho i straszno i splunął.

—Prawda, kończył, żeście się panowie tak
Longina zobaczyć nie spodziewali, ale i ja mógł-
bym być zajechać przed was karetą, gdyby nie
bestye te! wrogi moje! Tylko, że między nami
nie koniec jeszcze...

Towarzysze wszysecy nań spójrzeli z jakąś o-
bawą i wstrętem, ale on, czy tego nie dójrzał,
czy nie uważał, czy widzieć nie chciał, podpart-
szy się na kiju ręką pod bok założoną, pozos-
tał nadrabiając miną i wesołością boleśną.

Szczęściem drażliwe to położenie przerwało
zjawienie się nowe człowieka, którego równie
trudno było rozpoznać jak Longina. Był to męż-
czyzna okrągły, pulchmiutki, z twarzą xiężycy-
wój okrągłości białą i rumianą, żywo toczący
się ku gromadce stojącej na Łotoczku, który
zasapany przybiegł otwierając oczy i ręce, gdy

począł rozpoznawać starych swych towarzyszków. Któżby w tym krąglutkim podtuptanym już pie-szoszku domyślił się czułego Albina, żyjącego promieniami xiężyca, karmiącego się westchnieniem? Serce tylko w nim jak przedtém pocziwc zdradził pośpiech z jakim przybiegał, zapal jego i łzy serdeczne na widok starych przyjaciół.

— To nasz kochany Albin!

— Jak się masz Fijołku! ale zaprawdę na pełną przerosłeś Lewkoniję!

— A juściżem to ja! ja sam! moi drodzy, a! jakżem szczęśliwy... Niech-że was uścisnę, niech się napatrzę, nacieszę... Oto chwila oczekiwana lat tyle... oto upragnione spotkanie... Iluż nas tu jest? leżmy się, godzina szósta, kogo nam jeszcze braknie, zmówiemy przynajmniej Anioł Pański za jego duszę...

— Jordana i Baltazara.

— Wątpię, żeby ci już przybyli! zresztą, któż to wie? przyszłą może lub dadzą znać o sobie, rzekł Longin... Oba żyją, Baltazar nawet być tu musi, a w razie niestanności, ja się obowiązuję obu *curriculum vitae* przedstawić.

— Ale cóż tak *sub Jove* stojemy? zapytał Cyryll, nie lepiej by się gdzie schronić?

— Prawda! chodźmy więc pod dach, kochani towarzysze, przerwał Albin, — bo na ulicy już i tak ściągamy oczy, a Łotoczek mało potrzebuje na to, by spokój jego został przerwany — szanujmy obyczaj miejscowy. Szkoda, że nie ma do wzięcia mieszkania Teofila, dałbym za to wiele! jakby tam dobrze nam było! Jakby się żywo przypomniały stare dzieje i dawne a lepsze czasy! Ale tam dziś magiel stoi! praczki z żołnierzami rozwieszają bieliznę, sprofonowano *caenaculum*!

— Prosiłbym was do siebie, rzekł nie śmiało Konrad, ale potrzebuję wprzódry żonę przygotować.

— Dajcież pokój żonom! a ty tu mieszkasz?

— Lato zwykle przepędzam na wsi, ale dotąd nie wyjechałem, oczekując na was umyślnie.

— Żona twoja byłaby dla nas nieciążliwym świadkiem, przerwał Albin, a ja już pomyślałem o wszystkim. Musicie się dać zaprosić na dziś do mnie, jam tu gość, stanąłem w domu Podbipięty i zająłem umyślnie jak najobszerniejsze mieszkanie... Do mnie więc na herbatę, wieczerzę i... na co chcecie!

—Jabym was zaprosił do siebie, rzekł Cyryll ostróżnie oglądając się na Longina, ale...

Spójrzenie jego bardzo się tłómaczyło tą postacią, którą do porządniejszego domu trudno za prawdę było wprowadzić.

—Ale... mówić nie daję... tylko zabieram was wszystkich na dziś, krzyknął Albin, pożegnajmy łąą pocciwy nasz Łotoczek, *angulus ridens* i chodźmy wieczor spędzić po staremu... każdy z nas znajdzie co powiedzieć... historia lat dwódziestu!

Ruszyli się wszyscy oglądając i uśmichając wspomnieniom, które się co krok nastroczały.

—Gdziez się to podział ów szylid wspaniały, bót złocisty i obowie w obłokach starego Piłsucia? zapytał Albin... a Rózia, Konradzie?

Konrad się zmieszał widocznie i zarumienił.

—Wszystko to się powoli wyjaśni, rzekł tajemniczo i niewyraźnie.

—Prezydentowstwa z Manią i Ziunią także, ani znaku ani slychu, piekarz także emigrował ku cieplejszym krajom, a rzeźnik ze świnią złotą zajął jego miejsce. Wawrzyńcowy loszek zajmuje jakaś nieznajoma jéjmościanka... wszędzie świat nowy...

—A myż nie nowi? zapytał Cyryll.

Mortalia facta peribunt...

śpićwa stary Horacy

*Multa renascentur quae jam cecidere cadentque
Quae nunc sunt in honore...*

—Niewierna cytacya, boś ukradł *vocabula*, dołożył Teofil po cichu.

—A! lat dwadzieścia! wiek cały! co za zmiany, przerwał Albin, ludzie, miasto, mury, powietrze zdaje się inne...

—Nie, ale te piersi, któremi je ezerpiemy, zmienione, w nich to zmiana największa!

—A wszystkie te metamorfozy, rzekł Longin, którego postać i strój dziwnie odbijały od towarzyszków, choć bardzo ponfale się z nimi obchodził— głupie i niepojęte; Cyryll w karecie, Albin różowy i tłusty, Konrad bez zębów i żółty, ja bez butów i głodny, a co gorzej spragniony...

—*Audaces fortuna jucat!* mówiłeś dawniej, podchwycił Konrad— a tu się pokazuje, że raczej...

—Stój! nie kończ, zawołał Longin, jest druga maxyma, której mnić dłuższe nancyło życie, że fortuna jako panna, (chociaż się z nią codzień tylu żeni), kocha nadewszystko... (od-

chrząknął), ale wolę niekończyć bobyście się wy-
to w bótach chodzicie pognicwać mogli.— Ja
nie miałem się jój szczęścia podobać, ale zje-
cha! prędzój, późnój moją być musi, wiem
ja, że się jój gwałt zadać musi... Cierpliwości!
wrogów pokonam i bóty za kolana sobie sprawię!

W chwilę potem wszyscy towarzysze siedzieli
w jednym z pokojów zajętych przez Albina, a
służba jego krzątała się około herbaty. Z mie-
szkania choć najętego na krótki czas tylko, z te-
go co otaczało Albina wnosić było łatwo o jego
położeniu i upodobaniach ex-Fijolka, zmianach,
jakie w jego charakterze zajść musiały i przy-
wyknieniu do gnuśnego a wygodnego życia. Dwór
wyglądał bardzo pańsko i znamionował człowieka
co dba wiele o powierzchowność, ale wię-
cej jeszcze o to, by mu na niczem dla rozpie-
szczonego ciała nie zabrakło.

Tyle przyborów różnych otaczały Albina, że-
by ich i na sześć osób wystarczyło, w domu
nie w drodze, każda z tych rzeczy była wy-

szukana, dobrana, wykwiłtna, patentowana i jak najwytworniejsza. Ogromny kuferk angielski ze srébrami na kilkanaście osób, wina, pasztety, ciasta, wszystko to znajdowało się w podróznym furgonie Fijołka. Nakrycie oznaczało dwór na stopie pańskiej i z wielkim urządzony przepychem, srébra, szkła, porcellany wszystko było herbowne, poznaczone koronami hrabiowskiemi, nad połączeniemi godłami dwóch szlacheckich rodzin...

— Oh! mój Boże, jakże to daleko dziś do naszego samowarka kulawego! zawołał Tcofil poglądając do koła— gdzie nasze stare pootłnkane szklanki, owe pogięte łyżeczki służbowe, które powysługiwały emeryturę, i owe drewniane kijki do micszania herbaty wynalazku nieoszacowanego Cymbusia— gdzie te naczynia wyszezerbione, z których się pilo nadzieję!

— Tam gdzie i nadzieje! poszły *ad patres*, to jest na śniecisko, odparł chmurno Longin, rozsiadając się w krześle z tém więcej rażącą poufałością, im dziwniej wśród otaczającego zbytku, jego żebracza wyglądała postać— wzgardliwie a szydersko poglądając na bogactwo i wy-

tworność Albina.— Tak! moi panowie! Alexander Macedoński bez bótów... a może bez koszu-
li! cha! cha! cha!

Ten zwrót ciągły i egoistyczny ku sobie, o-
stndził wszystkich do reszty.

Cyryll stanął przed nim z politowaniem wy-
rytém na twarzy.

—Któż z nas nie cierpiał i nie cierpi Lon-
ginie, rzekł poważnie, trochę z winy swój, tro-
chę z woli Bożej, ale nikt się nie skarży... nie
umiész znosić...

—Tak! ale każdy, bo z was ma choć chleba
kawalek, każdy się tam czegoś dobił— a ja! ja!
rozmiał się gorzko— nędzy! Ale to nie! Chwi-
lowa przygoda, nie skwitowałem z życia i w łeb
sobie nie wypalę, wołałbym komu innemu... zo-
baczyć co koniec pokaże... pogrzebie nieprzy-
jaciół... zwyciężyć muszę i zwyciężę.

—E! gdyby to była wódka! przerwał nagle—
spluwając na wspomnienie ambrozji— nim wam
tam tę ciepłą wodę zagrzeją, napiłbym się go-
rzalichy— Héj! héj! kolego Albinie! aquavity,
przyjacieln!

Zeschę wargi, oczy czerwone, jakiś wyraz

nie nasyconego pragnienia, dawały poznać, że Longin wpadł w nałóg z rozpacz, nie czas go było nawracać, Albin pośpieszył i kazał podać wódki. Ale u niego i wódka jaką on przyjmował wcale inną była niż ta, do której przywykł biedny pijak uliczny.

Albina kantyna podróżna zawierała: Cognac stary, Ginn, Kirsch przedziwny, a na poobiedzie likwory Wyp i z Bordeaux, brakło mu téj siwuchy pocieszytelki, którą się zalewał Longin, co mu się najlepszą ze wszystkich zdawała. Na widok karafek podróżnych kryształowych, ich ilości i doboru, gdy mu na srebrnej tacy przyniósł służący cały szereg, tłómacząc napisy na kartkach poprzylepiane, ruszył ramionami i splunął po swojemu mruczając pod nosem.

— Ale ba! — siła złego tyle na jednego! odezwał się przepatrując karafki jedna po drugiej... wszystko to cudzoziemcy, jakieś nieznanne spirytuoza... pańskie likwory, delikatne pewnie i łagodne, a poczeiwéj okowity kotłówki nie dostrzegam, owéj starki litewskisj sławnéj, co by dobrze zagrzała żołądek do głębi i zakręciła aż wątrobę... — No! serce mów, boś pewnie koszto-

wał, zapytał lokaja, która tu z nich najmocniejsza... to muszą być słodkie paskudztwa... daj przynajmniej szklankę, któż naparstkiem pije...

Służący postawił tacę zdziwiony przemową i figurą przyjaciela kotłówki, a Longin wybrał wreszcie znany mu dawniej Cognac, którego wprzód z flaszki powąchał zdając się dosyć zadowolony.— Wszyscy unikali nań patrzeć wstydzając się za biedaka, ale on wcale się nie sromował nałogu, który go opanował.

—To niezłe! rzekł spluwając po wypiciu— coś niby *species* starki, znałem to dawniej, dziś zszedłem na demagogiczną siwuchę, ale też to konsolacja jedyna i nie droga dla biednych, jak ja ludzi, a prawie wszędzie i o każdej dnia godzinie dostać jej można. Gdy raz dobierze się do żołądka ani poznać czy to konjak trzy-rublowy, czy prościuchna za dwa złote... bo w kiskach jak w grobie wszyscy równi...

To mówiąc łakomie haust powtórzył.

Odnosili tacę, gdy we drzwiach ukazał się siwy zupełnie, dobrze stary, w wyszarzanój surducinie mężezyzna dosyć gruby, blady, z wyrazem przybranój, ale źle odegrywanój powagi—

nie poznano go zrazu, ale Longin, którego oczy widziały jasniej po Cognacu wskazał w nim doktora Baltazara.

— A witajże nam, witaj! kollego!— poczęli wszyscy otaczając go— jeszcze jeden!— chwała Bogu; gdyby nie Jordan bylibyśmy wszyscy słowa sobie dotrzymali.

— Będziecie i jego mieli jak sądzę, stawiając kij wyslizgany od noszenia i pokrywając go nie mniej wyszarzaną czapką, a sam po przywitaniu siadając, odparł Baltazar... Jordan wiem, że jest w mieście, ale się spóźnił na Łotoczek, szuka zapewne nas... i znajdzie niewątpliwie.

— Ha! więc jesteśmy w pełnym komplecie, i śmierć dobrodziejka nikogo nam nie wzięła... zawołał Teofil— bravo! bravo!

— Ale czas potraktował nas nielitościwie, rozśmiał się Longin— co za zmiany! aj! *horresco referens*, gdybym był Referentem.

— Tylko nie w sercach,— rzekł Albin.

— O sercach się nie mówi, tylko o nosach i kieszeniach, które diable się zmieniły... a humory także... wszystko to postarzało... lat dwadzieścia!

—Cóż ho chcesz wieczności na ziemi! gładząc siwe bakembardy rzekł doktor Baltazar.

—Tak lat dwadzieścia, to całe najlepsze życie ludzkie! dalej już kończy się czynna epoka, przerwał Teofil, a co się nie wyrobiło przez ten czas, trudno dalej, już po żniwie.

—Protestuję! zawołał gorąco Longin, na którym wódka poskutkowała— zawsze czas do roboty kto ma siły po temu... Człowiek różnie starzeje, jeden jak nóż miękki zetrze się w rok na chlebie, drugi jak stal na kamieniu tylko zaostrzy... Co to starość i czas? rachuba mylna— bałamuctwo! zresztą żaden z was, excypując Baltazara, nie ma wiele więcej nad czterdziestówkę, jesteśmy w pełni sił, a nasi ojcowie w téj dacie w skórę jeszcze brali i uważali się za smarkaczów. Co do mnie czuję, żem dopiero dójrzał... wyzywam wrogów moich... zobaczycie dopiero, jak ich z mańki zażyję... bylebym znalazł gdzie trochę pieniędzy!!! zobaczymy! zobaczymy.

I pięść groźną podniósł do góry.

Wśród téj przerywanéj rozmowy, która się jakoś nie bardzo kleiła, bo starzy przyjaciele

z pewną nieufnością i obawą zdawali się spoglądać na siebie i badać wzajemnie z niedowierzaniem;— zaczęto podawać herbatę ze wszelkimi po angielsku towarzyszącymi jej przekąskami podwieczorkowemi, a dobor ich okazywał wykwintnisią i smakosza. Zamiast Cymbusia co szklanki w kątku tajemniczo nalewał i doléwał, nadpijał i dopełniał, dwóch lokajów w liberyi roznosili imbryki, serwetki, filiżanki, owoce, mięsiwa zimne, séry, jaja miękko gotowane;— zamiast otłuczonego fajansowego czajniczka, którego nadwerężona przykrywka szumreczkiem do rączki przymocowaną była, aby ją nienarazić na ostateczne rozbicie— przepyszny serwis srebrny uderzał oczy;— zamiast bułki ód piekarza, było tysiące przysmaków, których woń przyjemnie techtała ponowienie,— Longin patrzył uważnie i ciągle uśmiechał się szydersko.

—Jednym się zmiele, drugiemu się skrupi, mówił po eichu do siebie biorąc obojętnie szklankę i szukając do niej rumu, o który zaraz się dopomniął— zobaczemy jaki będzie koniee...

—No! a teraz, rzekł Albin otoczywszy przyjaciół troskliwie talerzykami i jądłem, którego

zalety wyliczał z umiejętnością Brillat'a Savarin, o sobie nie zapominając także i przysunawszy się do stolika—któż z nas zacznie spowiedź dwudziestoletnią??

—Mnie się widzi, że jabym powinien, przerwał Longin, rozpierając się w krześle; wszyscyście mnieją więcej spaniali, będziecie kłamać, to przywilęd sukni, ja prawdę powiem bom goły i, nauczę was odwagi. A zatem *Silentium dominationes!* proszę o głos, o butelkę rumu do osobistego mojego rozporządzenia i łaskawe ucho, jeśli nie serce panów dobrodziejów.

—Wyszedłem w świat z jak najpiękniejszymi nadziejami jakieście sami widzieli,—począwszy powoli—mogłem się spodziewać, że dojdę do czegoś, bo ledwie mundur zrzucił już miałem zajęcie. Plenipotent księcia R... wziął mnie do pomocy w interesach, miałem pole do odznaczenia się i nie zależałem go. Interesa to były osobliwsze, ale po świecie trafiają się i takie; chodziło o ocalenie fortuny pańskiej dla pana,

co jój użyć nie umiał, kosztem stu może ubogich familij, których całą majątność pochłoneła rozrzutność poprzednika. Gdyby to tak z kim innym się stało, zapłaciłby do grosza, bo stało majątku, zaspokoiłby wszystkich, poszedłby pracować i rzeczby się cicho i uczeiwie skończyła. Tu szło nie o to, żeby popłacić i oddać co komu należało, ale żeby pan legalnie panem został, a o ile możności nie nikomu nie dał, żeby mali padli ofiarą.

Mnie wcale nie czas było wystrychnąć się na bociana i nawracać drugich na poczeiwość, kiedy cały świat nie złego w téj manipulacyj nie widział. Plenipotentowi naszemu, który téj mądrój podjąwszy się roboty, miljon na niój zyskiwał, czapkowali wszysey, kłaniali mu się, ścisкали go i choć robił szelmstwo uchodził za uczeiwego, bo przegrawszy w karty, płacił i pił wino szampańskie.

Miałem ja przez głupię delikatność umyć ręce od roboty, która mi się tak w porę nastęczała? Dano mi cząstkową plenipotencyę i parę mniejszych interesów do obrobienia; zawsze i

tu szło o to— nie patrząc co komu należało,— aby nie zapłacić.

To było zadanie główne, gdyż chciano koniecznie, aby pan panem został, choćby kredytorowie mieli pójść z torbami. Zrozumiałem rzecz jak należy i dwa interesa tak skończyłem przez układy szczęśliwie, że po półowie kapitałów uciąłem i procenta wszystkie, których było *allerum tantum*. Płacąc zaś pieniądze wzięliśmy kwit na sumnę całą i część procentów, bo coś na szelmostwie trzeba było i sobie zyskać dla uciśnienia sumienia. Któżby się do licha darmo chciał walać? Zysk ten należał do plenipotenty głównego, a mnie dostały się ochłapki tylko, coś nakształt pary tysiączków,— alem pokazał mu co umiem i zaraz się na mnie poznał.

To mu i dziś przyznać muszę, że się znał na ludziach i wybierać ich umiał. Zaraz mi tedy powierzył jeszcze jeden trudniejszy interes, gdzie potrzeba było wyrobków i bez procesu obejść się nie mogło. Szlachcie miał należność świętą, ale nie zaaktykował w swoim czasie, nie było świadków na skrypcie, obaliłem jego pretensyą jak napaść i groszaliśmy mu nie dali. Tyl-

ko potém, żeby wielkiego krzyku nie było, a samym coś zarobić, bo droga procesowa pozbawiała wszelkiego akcydensu, nim zaapellował rozbity na gładkiej drodze, zawarliśmy z nim dobrowolną umowę, i znowu też sama robota co przedtém.

Mnie to oczy otworzyło, jak mam o sobie pamiętać, i w tym ostatnim interesie układając się ostatecznie, oprócz naznaczonych mi honorarjów, zawarowałem dla siebie coś do kieszeni. Poszło jak z płatka, miałem trzy tysiące rubli w kieszeni w krótkim czasie, byłem już na drodze, zyskałem sobie reputacyą zręcznego człowieka. Przyznaję się teraz, że mi się niepotrzebnie głowa zawróciła, ale nie chciałem sobie żałować, nająłem porządny apartamencik, począłem żyć wygodniej.

Zdaje się, że główny nasz plenipotent jakoś w salonach obok siebie mnie widując, i z subalterna uważając, żem się rychło wspiął na prawie mu równego w towarzystwie, musiał to wziąć za złe, skrzywił się, a nawet powziął jakieś podejrzenia.

Był to już wielki pan całą gębą, lubił, żeby

mnę się kłaniano, ja tak dalece płaszczyć się nie umiał i to mi na złe wyszło. Raz, drugi począł mnie w zgromadzeniach traktować z góry, to mi się nie podobało, on sobie, ja sobie się nadałem. Nie przyszło do starcia, ale chłód został, i w krótkim czasie, ni z tego ni z owego plenipotencją mi cofnął. Jam się rozśmiał, a że mi Pan Bóg dał dobrą gębę, począłem gadać potroszę, tłómacząc ludziom, jak się to smaży interesa księcia, i jak ubogich odzieraają dla zbożacenia jednego trutnia.

Jakkolwiek ludzie o tém, co się robiło bardzo dobrze wiedzieli, ale wszędzie chodzi o to jak się rzecz przedstawia, rozdmuchany ogień począł płonąć i plenipotent dowiedział się, że ja mu piwa nawarzył. W dodatku poddmuchnąłem kredytorów jak się mieli bronić, co robić i jak w razie układu komplanacye podpisywać; podjąłem się wreszcie parę interesów przeciw masie. Choć ciężem się z tém ukrywał, poznał moją rękę pan... i otóż państwo macie całą przyczynę nie-szczęść mojego życia.

Same okoliczności nastręczyły mi rolę, jaką miałem odegrać, i drogę, którą mi obrać wypa-

dało; musiałem się, waleząc z niepocziwym, oblec w cnotę i prawość, a rola ta na początek dla młodego człowieka wcale dobra. Czego się śmiejecie? ja nie nie myślę obwijać w bawełnę.

Chodziłem po mieście i w ten sposób tłómaczyłem położenie moje, że użyty przez plenipotentę do czarnej roboty, sam ją porzuciłem, przekonawszy się, że była nieceną i podłą. Podniosło mnie to w opinii, ale zrobiło wroga i tak niebezpiecznego, jakiegom się z mojem młodem zachwalstwem spodziewać nie mógł. Nie rachowałem wówczas, że pan, którego plenipotent reprezentował, był ogromnie spokrewniony, że miał krewnych i popleczników na całym świecie, że mnie sierocie walczyć z tą potęgą było po prostu szaleństwem.

Podbudziwszy pokrzywdzonych, kredytorów, odartych, tudzież narobiwszy wrzawy, jałem się żywo roboty i plenipotent gdzie stąpił wszędzie mnie naprzeciw siebie znaleźć musiał.

Nie wielem ja na tém zarabiał, bo sami n-bodzy i uciemężeni uciekali się do mnie, a ci nie bardzo mieli czém szafować, ale i grosz je-

szece był i co więcéj wysoko stanąłem w opinii publicznej, jako obrońca uciśnionych. Niestety trwało to tylko chwilę, gdyż nieprzyjaciół miał tysiące środków, których przeciwko mnie użyć nie zaniedbał.

—A! mój Boże, zawołał Serapion stając na przeciw Longina, któż w tém nie ujrzy ręki Opatrzności! patrz kochany towarzyszu, ona to zdźwignęła cię i opierającego się, mimowolnie popchnęła na drogę cnoty.

Stałeś się obrońcą pokrzywdzonych, rycerzem słabych, posiłkiem bezsilnych, sprzymierzeńcem biednych... Dla czegoż to stanowisko nie zasłanzone, tak piękne i wielkie, nie obudziło w tobie zamięłowania cnoty i nie natchnęło cię heroizmem?... stałeś już na szczelnie...

—Z którego dla głodu musiałem zleźć, ojcze Serapijonic, rzekł Longin dolewając sobie rumu, mówisz jak z kazalnicy, ale czemuż ta ręka Opatrzności nie dała mi chleba?

—Bracie! grzeszysz tą mową! poświęcenie twoje wzięłoby zapłatę i nie byłoby ofiarą...

—Daj mi pokój z nawracaniem... już nie pa-

mlętał kiedyś się spowiadał ojcze Serapijonie, to darmo... ja wiary nie miałem i nie mam. Słuchajcie dalej, a missya na potém. Była tedy istotnie jasna chwila w życiu mojem, ta o której mówię— znaczenie, szacunek, wiara w moje zdolności podnosiły mnie, ale obok prześladowanie murtowało powoli. Użyto wszelkich środków, aby mnie zgubić... nie poszło to łatwo, tłómaczyła się potwarz potrzebą oczernienia, musieli mnie wciągnąć w paskudną robotę, abym z niej wyszedł zwalany.

Patrzcie tedy co zrobili.

Plenipotent stopniowo począł zmieniać taktykę, twarz, obejście, szukał mnie prawie, dając mi znać przez trzecie osoby, że znów pragnąłby użyć zdolności, na których się poznał. Nie byłam tak głupi, żebym nie zważał pisma nosem, i nie obrachował, że zszedłszy z mojego bohaterskiego stanowiska, już na nie powtórnie wdrapać się nie potrafię. Ale pokusa ogromna ciągnęła mnie, a grosza się przebieirało.

Chciałem się dobrze o siebie wytargować—jemu zaś chodziło o to tylko, żeby pokazał, że

przedajny i że mnie kupić potrafi, żem nie tak *integer vitae scelerisque purus*, za jakiegom się przebięrał. Czuł to, że choć plułem beziinteresownością i enotą, alem w nie nie uwierzył.

—I to cię zgubiło, nieszczęśliwy, zawołał Serapion, z litością.

—Nie, nie to, mój ojcze, ale to, żem był goly i głupi... Zaofiarowano mi znów roczną plenipoteneyą, znaczną pensyą i różne widoki na przyszłość;— zmiękleńm jakoś nie w porę nie umiejąc się wytargować, musiałem przygotowywaczem zmienić ton i mowę, zesłać nać w opozycyji i w chwili, gdy już mi plenipoteneyą dać mieli, npadłem w opinię kompletnie... ludzie postrzegli, żem tylko udawał Don Kwiewhota.

Zręczny oszust dał mi półroczną pensyę, dał ograniczone pełnomocnictwo, natychmiast je odwołał, i tēm mnie zabił że pokazał, iż mnie kupić.

Podstęp ten, weale mniejętnie wykonany, wyjaśnił żem w tēm miał tylko interes własny, a nie byłem tym, za którego chciałem niehodzić; plaśłem tedy na cztery nogi. Bogaty i możny, nie

obawiałbym był się tego weale, znaleźliby się ludzie coby mi jak jemu rękę podali, choć dobrze wiedzieli, że kradł i rozbijał; ale młodemu i nieznanemu, ubogiemu i splamionemu, nikt i palea nie wyciągnął. Wszystkie drzwi mi zamknięto, na ulicy nieickano odemnie, odwracano twarz aby się nie uklonić, udawano że mnie sobie nie przypominano. Chciałem się podźwignąć, nie było sposobu, bo ta nieszczęsna plenipotentya stała w aktach, a mnie nikt już nie wierzył.

Wszysey mnie mieli teraz za narzędzie tajemnicze plenipotenty, i osobiste moje znaczenie upadło bezpowrotnie.

—Widzisz więc Longinie, że enota a prawda najlepiej prowadzi do celu, rzekł kapłan.

—Stare to dzieje! odparł Longin—jak komu księżmin, jak komu, nie ma prawidła bez wyjątku, ja jeszcze nie tracę nadziei. Ale posłuchajcie-no co się dzieje... Chodząc około tych interesów tam zyskał, żem nabrał wprawy i nosa; chociaż mi się środki wyczerpały i ciasno a kręto było koło mnie, jednak żyć miałem z czego, i znano mnie jako dobrego w złych razach doradcę. Nastreżalem się zresztą i sam do spraw,

szukałem Indzi, miałem tyle, że nie mogłem umrzeć z głodu. Zwłaszcza też krzywe interesa szły teraz do mnie, a na tych się najlepiej zyskuje. Powoli znów odrabiać się zaczynałem i wchodzić między Indzi, którzy mnie potroszę przyjmowali. Choć czasem kto nosem zakręcił, jam nie dbał. Zrobiłem sobie swoje kółko i towarzystwo, a żem zawsze lubił życie, nie oszczędzałem w pocie czoła zarobionego grosza. Z przeproszeniem wszystkich tu znajdujących się doktorów, poznałem się wówczas z panem Surginem, którego pamiętacie może z Uniwersytetu, chodził na medycynę z nami i skończył przy nas *cum summa laude*. Ożenił się potem z nbogą ale ładną na podziw dziewczyną, która, gdym wszedł do ich domu, zaczynała dopiero rozkwitać w całym blasku, a małżeństwo właśnie po przejściu lat miodowych, skłaniało się ku epoce chłodu i przyjaźni—trafiłem więc w porę. Surginowa była śliczna jak anioł, romansowa bardzo i potrzebująca wielbicieli więcej jeszcze niż kochanków. Mąż całe dnie pędził za domem i jakoś ostygł był dla niej... No! co było do czynienia? he? wziąłem się do jójmości... widzę że brwi mar-

szezyście Katony— e! e! dajcie no pokój! hipokryci! kto z was nie ma podobnych grzechów na sumieniu? To bieda, żem ja tu znowu idąc przebojem, tak wlaź jak tam wprzód z plenipotentem. Surgina znalazście, zawsze był oryginał, zaraz się przekonacie do jakiego stopnia. Raz, niespodzianie w nieprzychylnéj godzinie zszedł mnie z żoną nadto poufale zabawiającego się, bom klęczał przed nią i głowę miał na kolanach ślicznotki... podsłuchał niepoczciwy cośmy z sobą mówili, zwyczajne blazeństwa zakochanych, że życie bym dał dla niéj, a ona mi odpowiadała, że nigdy nikogo nie kochała nademnie!...

Kiedy my tak gramy sobie w ucieczce—wśród tych czułych a głupich zwierzeń, buch! otwierają się drzwi, wchodzi gdyby konsul rzymski, poważny a blady jak ściana mój Surgin, bo żonę kochał bardzo, choć tego okazać nie umiał— staje widmem przed nami, zakłada ręce na piersi i płakać zaczyna wielkimi łzami... Jam osłupiał, ona krzyknęła i zaczęła spazmować.

Chciałem opamiętawszy się uciekać i zostawić ich z sobą samych, żeby się pogodzili, ale Surgin pochwycił mnie i pchnął silnie.

— Stój, woła— odebrałeś mi jój serce, odarłeś mnie z jedyne go szczęścia na ziemi, nie obwiniam cię o to, tém mniej słabą kobietę, którą słowem omamić łatwo, a sercem pociągnąć. Dziś to już o mnie i moją obrazę nie chodzi, idzie o nią, o jój przyszłość i szczęście... ona żyć ze mną nie może, bierz ją i uczyni szczęśliwą, a pamiętaj że się o to u ciebie srogo dopomnę... jeśli jedna łza pocieczy z jój oka...

Tak ślicznie wydekłamowawszy monolog, ustąpił z placu, a mnie w najgłupszym zostawił położeniu, bo musiałem panią Surginowę wziąć do siebie, a żyć z endzą żoną, zawsze to jakoś rzecz dla ludzi, a zwłaszcza żonatych, nieprzyjemna do widzenia... Z tego powodu znówu ludzie się odemnie odstrychnęli i musiałem zostać w nieciekawém kółku baumitów społecznych, które mnie otoczyło.

Nie mówię nic o Surginowój, która w rok potem poszła sobie z drugim amatorem... Szczęściem doktor zmarł, bo by mnie był pewnie zamordował, tak ją kochał jeszcze. Dziś podobno sama gdzieś już mieszka i utrzymuje się z nie-

wiem jakiego przemysłu... a gdyby się nie biegała i nie różowała, dalibóg byłaby jeszcze ładna.

Otóż macie drugie głupstwo, którem zrobił i to kapitalne... ale przychodzę do trzeciego i największego, które mnie dorzuciło. Żył się jako tako, trzymałem dom otwarty, grano u mnie co wieczora, nauczyłem się kart i robiły mi przyjemność, a przytém była w tém rachuba, nawet grając co się zowie uczciwie.

Jużciż nie posadzicie mnie o to, żebym był tak głupi i karty znaczył, albo po prostu filował i kręcił, są to stare i uędzne środki; miałem inne i lepsze, oparte na filozofii i znajomości serca ludzkiego.

Najsumnienniejsi gracze używają ich jak ja, rzecz prosta. Naprzód lepij i ostróżniěj grać od innych, powtóre dobrze wiedział jak z kim grać, w jakich chwilach i warunkach. Jam był zawsze panem siebie, ci z którymi grywałem w chwilach pewnych nie władałem sobą, a tych chwil właśnie używało się aby ich ociąć. Jasno, czysto i nie zarzucić nie podobna, głupis to pokutuj, nie graj, nie przegrasz. Z młodym gdy się

upije, gdy się zapali, grać najlepiej; ze starym gdy się trochę zgra, z innym gdy trochę wygra i zasmakuje, z innym podbudzając próżność, z drugim drażniąc chciwość, otóż to się wie i z tem zasadami sztuki, grając czysto i uczciwie, wygrywa się zawsze i wygrywać musi. Gdy mi karta nie idzie tom słaby, gdy pójdzie podszuczam do gry, korzystam ze swojej szansy a drugim ją odbieram.

Takim sposobem w domu u mnie grywano dużo, naturalnie zapraszałem tych, co zwykli byli i urodzili się na to by przegrywać... i to także rachuba... przegrywano więc; a niepoczeiwy świat ogadał mnie zaraz jako szulera... gdzie sprawiedliwość!! Zresztą, to co się od samych kart zbierało u mnie, starezyło prawie na koszt wieczorów i herbaty.

Ale dom w którym była Surginowa i karty od rana do wieczora, nie mógł zbyt niepokalaniej używać sławy. Młodzież się cisnęła jak na lep, bo doktorowa miała jeszcze siostrzenicę nieszpętną i swawolnicę zabawną, ale rodzice i żony mnie przeklinały...

Po odjeździe Surginowéj, na której nową miłość patrzałem przez szpary, bom sobie życzył żeby mnie kto od niej uwolnił, bojąc się żeby to zbyt długo nie trwało i nie przeszło w rodzaj małżeństwa—jakoś byłem wolniejszy, ale w miarę jakem się grze więcej oddawał, dom mi opustoszał i nikt interesów nie chciał powierzać. Ogłoszono mnie za szulcra, najniesłuszniej, jak sami widzicie... Potém pokłócili się parę razy u mnie przy kartach i przyszło do szturchańców, co nie polepszyło sławy domu, choć ja kpiłem sobie z tego... zuów tedy poczęło być ciasno.

W takim stanie rzeczy trafia się, że przyjeżdża wdowa z córką, mająca gruby interes z moją masą Księcia... przedawnioną sprawę, popsutą. Chodziło o pół miliona, za który dawano jój sto tysięcy, a sam czysty kapitał wynosił pięćkroć... Któs mnie nastręczył wdowie i zgłosiła się do mnie. Była w stanie najopłakańszym, odarli ją do koszuli prawnicy i nie nie poradzili, choć interes był czysty, jasny, prawny i dobry. Raz i drugi byłem u niéj, zobaczyłem córkę, dziecko wychowane w prostocie i niedostatku, niewinne

i nieśmiała. Była jedynaczką, miała lat szesnaście i dosyć ładną twarzyczkę.

Dobrze się więc rozpatrzywszy w papierach, raz, drugi, widzę, że wygrać można więcej pół milijona, bo procenta całe nie spadną... Zacząłem utrudniać, targować się... gdy mi coś szepnęło— żeń się z córką i chodź jak o swoje, wdowa ci ją da i processu się na was zrzecze.

Rozmyśliwszy się, że już drugi raz w życiu pewnie się taka gratka nie trafi, ot, licho nadało, pokusiłem się... Rada w radę— widzę interes jasny, sprawa czysta, to tylko biada, że z nieprzyjacielem, ale o swój własny inaczéj się i śmielej idzie. Rachowałem, że sam pojedę do stolicy, że tam karty wprowadzą mnie do salonów, że placu dotrzymam i plenipotentowi i księciu; oświadczyłem się więc staruszce, która po niedługim wahaniu się przyjęła moją ofiarę i ożeniłem się po ciehu.

Ale chociaż wprzód przeglądałem papiery, znać byłem oślepiiony, żeń wiele niedopatrzył, dopiero po ślubie, ochłonawszy, gdym się do sprawy wziął i czynnie koło niej chodzić zaczął, odkryły się

rzeczy niespodziane. Naprzód z pięciukroć zesłiśmy na dwakroć czystych i to bez procentów, bo się okazały nadpłaty, rachunki z zastawy, wytrzymanie części summy; potem plenipotent tak się wziął na mnie, że gdym przybył do stolicy, nigdzie mi drzwi nie odemknęto. Otworzyłem ja dom, nie pomogło i to, łapałem tylko niższych urzędników, a matadory mnie widocznie unikały, taką mi tam zrobili renomę. Postrzegłem za późno, że się pośliznął, ale to już gra szła o życie lub śmierć.

Nie będę wam opiewał nieszezęść moich, bo te trwają do dziś dnia, szczebel po szczeblu, spadłem na odartusa, jak mnie widzicie, do niedostatku, do nędzy... i do siwuchy za całą pociechę.

Mam żonę, która mi dała w miejscu pięciukroć, pięcioro dzieci, choć nie prosiłem o nie, starą matkę, która mi głowę myje i zajada wyrzutami, w domu piekło, a na grzbiecie łachmany.

Ale myślicie może, że wyrzekł się walki? nie! póki było o czém, wiodłem ją gorąco, dziś do ostatniej sprzedawszy łyżki, jeszcze ją popie-

ram dwózzłotówkami, pójdę piechotą do stolicy, jeśli będzie trzeba...

Sto razy mnie obalili, sto razy na nowo rozpoczynałem proces z nowych źródeł, od piérwszēj instancyi; kłopotczę ich i siebie, dokuczam, męczę, a swego nie daruję, piętnaście to lat trwa, jeszcze pożyczę dla nich z piętnaście, a na swoim postawię... Dostaę się do stolicy, będę służył za odźwiernego w jakim departamencie, ale zjem i zgniotę w końcu wrogów moich.

Plenipotentą i tak już diabli wzięli, ale ma następców godnych, nie to!— i tym da się rady! Wypychają mnie z sądownictw, krzyczę na ulicy, po dziesięć prośb podaję na dzień, skarżę wszystkich, wywołuję śledztwa, żalę się na urzędników, dojadłem, dopiekłem, zwałłem się w przedpokojach, miałożby to wszystko być darmo? o nie! do sta katów, dodał bijąc pięścią o stół— na swoim postawię!

—Kochany Longinie, przerwał mu Serapion, Bóg z tobą... *pax tecum*... sam widzisz do czego cię to doprowadziło, te lata zmarnowane, stérane, gdybyś był poczeiwěj, sumienněj pracy po-

święcił, nie byłyby ci obfitszych i zdrowszych dały owoców? Nie widzisz ich; daremne jest to dobijanie się majątku napaścią, rachunkiem, pieniactwem? nie dostrzegasz w tém ręki Bożej, która cię miłosiernie prowadzi do upamiętania drogą upokorzenia i boleści?

— A! kaznodziejo! kaznodziejo! krzyknął Longin— dajcie mi pokój! Miałem i ja dobre chwile w życiu i mnie nśmiałła się pogoda, ale parę baków zastrzelił... ot co!.. trzeba było mieć więcej rozumu...

— Rozumu, nie, ale serca, serca, towarzyszu mój, mówił dalej kapłan powoli— i dziś przy twém ubóstwie dałoby ci ono upatrzyć w niém pociechę i doznać jej, ale potrzeba się obmyć z pychy, z chęci zemsty, z nieczystych uczuć ludzkich, a odezwać o pomoc do Boga... Nie wszystko dobre i święte zamarło w tobie... odżyć byś mógł jeszcze...

— Ale, zlituj się, nie na kazanie, nie na kazanie ja tu przyszedłem, oburzył się Longin, cóż to znowu?

Serapion złożył ręce, spuścił głowę i umilkł

z serdeczném uczuciem boleści, a wejrzenie jego mówiło.

— Módlcie się za zgubionego!

— Raelunek mój, przerwał szaleniec, dolewając wciąż rumu do nadpitej szklanki— o tyle mnie tylko omylił, że za szparko chciał zdobywać to, do czego bym powolniej mógł dojść bezpiecznie... ale człowiek musi głupstwa robić i pokutować za nie...

Albin, któremu jak innym postać ta i wyznania coraz się stawały przykrzepszemi, chciał już przerwać tok rozmowy i wyznań, i odezwał się:

— Zwykła to kolej rzeczy ludzkich... ale chwila ci była przeciwną, któż wie? druga może zmienić dolę i jaśniejszą zaświeci! Wszak masz wytrwałość i nadzieję?

— Ogromne... a naprzód w was kochani towarzysze, że mi bóty sprawicie i obmyślicie coś na pierwsze potrzeby... dużo na to rachuję...

Spójrzeli po sobie przybyli znającego, a Scapion westchnął tylko.

— Każdy z nas, rzekł, da co może, rozłamię się chlebem z łakującym, ale mybyśmy coś

większego i droższego dać ei ehcieli, radę dobrą, nezucie pokoju i ufność w Bogu, mogące wszelkie położenie osłodzić...

Longin kiwnął głową zapijając herbatę.

—No! no! rzekł, śliczne to, ale mnie tém nie odprawicie z kwitkiem,... a teraz!.. słucham co nam ielmość powiecie...

—Serapion, zawołał Albin... powinien by nam wytłómaczyć tę suknię, którą włożył na siebie.

Kapłan spuścił oczy wilgotne, i nie opierając się tak zaczął.

—»Niechaj ta spowiedź moja przed wami, choć stare odżywi blizny, zostanie mi porachowana za grzechy moje... gdyż nie bez wstydu i upokorzenia uczynić mi ją przychodzi.

Ale ją składał jako ofiarę przeszłości, jako słuszne zadość uczynienie za winy.

Znaliście mnie milezącém i zamkniętém w sobie dzieckiem pracy. Bóg mi błogosławił nawet w téj drodze niepewnej, którą tylko do doczesnego szczęścia zdawałem się zmierzać, nie do-

syć myśląc o wiekuistém... Ale różnie On po-
wołuje sługi swoje ku sobie, jednych jasnością
oślepiającą, drugich słowem niepojętém, innych
boleścią wielką...

Dla mnie ta ostatnia przeznaczoną była.

Widzieliście mnie tu przemyślającego tylko
nad zapewnieniem chleba powszedniego, chwytają-
cego się medycyny jako środka, który mnie
miał z nędzy podźwignąć; wasza pomoc poczei-
wa i chętna dozwoliła mi skończyć nauki nie
zaprzęgając przyszłości. Gdy lata próby wyszły,
byłem zupełnie wolny, miałem patent w kiesze-
ni, mogłem się udać gdzie chciałem, naturalnie
serce i instykt przeciągnęły mnie ku rodzin-
nej stronie: choć tam dla mnie nie pozostało nic
prócz wspomnień sieroctwa.

Ależ ich nie unikał, ani się myślał zapierać
pochodzenia i pracy, którą sobie wywalczyłem
niepodległość. Z szczupłym groszem, wyjecha-
łem do najbliższego miasteczka w sąsiedztwie
wioski, którą pamiętałem tak dobrze... niezna-
ny nikomu, bez opieki, bez stosunków, silnie
tylko ufając w łaskę Bożą.

Stałem sobie wprost w najtańszym jaki znalazłem domu zajezdnym, a obawiając się, że-
bym przybyciem mojem aie uszkodził dawniej-
szym, co mnie tu poprzedzili lekarzom, pierwszy
krok zrobiłem ku nim.

Dwóch ich wówczas mieszkało w naszej mie-
ścieinie, jeden niemiec, starszek bezżenny, dru-
gi młody nie dawno wyszły z uniwersytetu do-
ktor miasta i okolicy z urzędu. Oba mieli w są-
siedztwie swoich klientów: Niemiec poważniej-
sze domy majątne, w których leczył nie bardzo
przeszkadzając naturze, ostróżnie, delikatnie, łą-
godnie, drugi w miasteczku, zajmował się żyda-
mi, mieszczaństwem, medycyną sądową, a wra-
zie gwałtownych wypadków wzywany był wraz
ze starym do narady.

Niemiec, gdym go pierwszy raz odwiedził,
nie ukazał mi wcale nieukontentowania, owszem
zdawał się przyjmować z zajęciem;— wyexami-
nował mnie bacznie, rozmawiał długo, podał rę-
kę przy rozstaniu, a gdym mu o młodszych wspo-
mniał, pokiwał tylko głową i uśmiechnął się nie
nie mówiąc.

W ogóle, doktor Halm był bardzo ceniony, więcej może jako człowiek niż lekarz; wiek i ociężałość nie dozwalały mu bardzo pilnie zajmować się choremi, lubił już spoczynek i miał prawo do niego, medycyna go męczyła, wdzięczny był tym co go mieli za człowieka, a nie nudzili go jako lekarza.

Powiedziało, że zebrał był sobie kapitałik dosyć znaczny i o praktykę nie dbał wiele, bardziej dla stosunków odwiedzając domy sąsiednie; — sądziłem więc, że i dla tego dobrze mnie przyjął od razu, że się będzie mną mógł wyręczać w praktyce dla niego uciążliwej. Dosyć, że mi się wydał przyjacielskim i życzliwym.

Gdym już miał wychodzić, ujął mnie za rękę i oczy wlepiwszy, odezwał się powoli.

— Pozwól sobie, młody mój kolego, dać jedną dobrą radę... mnie jej nie swoje, ale endze nauceżyło doświadczenie. Wielu z naszych rzuca się, niecierpliwi i zmienia miejsca po kilka kroć w życiu, chcąc od razu owoców obfitych i powodzeń świetnych. Nie czyni tego; — siedź w miejsen, które sobie obierzesz, a co ma przyjść

to przyjdzie, potrzeba, ażeby poznali człowieka, oswoili się z nim, dopiero go ocenia. Nie zrażaj się obojętnością, zapoznaniem, pracuj gorliwie, nie wymagaj wiele, umiej czekać... i żaden doktor z głodu nie umarł, a wielu z głupstwa poumierało.

Podziękowawszy za radę, która w istocie była bardzo dobrą, z cichego domku, który Halm zajmował na przedmieściu, otoczonego ogródkiem, i bardzo miłego, udałem się do miasta do drugiego kolegi lekarza, pana Eframowicza, którego główna kwatera była w rynku, w najętą kamienicę. Nie potrzeba było pytać się o jego mieszkanie, bo od rana otaczało go żydowstwo, stada ludzi i wołów oczekujących na świadectwa życia i zdrowia. Oprócz tego dwie bryczki stały u ganku, straż odbywała policya, i kolnierzy czerwonych kręciło się mnóstwo; ledwie się mógł dobić i doprosić, żeby mnie tam wpuszczono.

Zastałem młodego praktykanta w szlafroku, z cybuchem ogromnym w gębie, nad herbatą, w towarzystwie dwóch urzędników powiatowych, strasznego bladego i wymokłego i sprawnika o-

pasłego i rumianego. Ci dwaj panowie uosobiali wybornie siedem lat dostatku i siedem lat głodu, choć kieszenie ich były w stosunku odwrotnym do postaci.

Z nieładu mieszkania łatwo było domyśleć się jak pan Eframowicz był straszliwie zajęty,—po stolikach walały się herbowe papiery, notaty, pootwierane książki różne, rozsypany tytuń, resztki wczorajszego jadła pokój przedstawiał jakby obozowisko; gospodarz wyraźnie świeżo powracał z drogi, bo tłumok na wpół rozpakowany leżał jeszcze w pośrodku izby.

Gdym mu się przedstawił kto jestem, zmierzzył mnie okiem nienfném, bojaźliwém, ale choć zimno, przyjął grzecznie, usiedliśmy, a sprawnik i strapezy wprędce pożegnawszy się odeszli zostawując nas samych.

—Więc pan tu myśli osiąść? spytał Eframowicz.

—Nie mam jeszcze stałego projektu, ale nie wszystkoż jedno?

—Okolica szkaradna, odparł doktor, ludzie panie dohrodzieju jakich na całym świecie nie

ma. O! gdybym ja był wiedział co mnie tu czeka! I potarł niespokojnie czuprynę.

Pan tu także nie nie zrobisz; naprzód nie chorują tylko ubodzy, powtóre, jeśli komu z tłustszych co zaboli, posyłają po Halm'a. Halm tyle pomoże co umarłemu kadzidło, przyjedzie, pomrnczy, każe pić wodę z cukrem, zaadministruje krople laurowe, w najgorszym razie postawi pijawki... ale to niemiec!

Szkaradny kąt! Pan się tu nie utrzymasz? choć— dodał, bardzo rad jestem, że we dwóch przynajmniej będę klepać będziemy, zawsze to weselój.— Może pozwolisz fajki? spytał w końcu.

—Dziękuję.

—Więc pan lokuje się... w miasteczku?

—Jeszcze sam nie wiem...

Milczenie moje snąć mu się wydało podejrzaném, choć zaprawdę pochodziło nie z chęci tajeńia się, ale wprost z tego, że postanowienia stałego nie miał i sprawy sobie nie zdawałem z tego co poeząć wypadnie. Bądź co bądź, postrzegłem, że Eframowicz widział we mnie nieprzyjaciela, udawał obojętność, obeszło go je-

duak jawnie, żem się tu osiedlić myślał, dowodził mi, że jest mnóstwo szczęśliwiej położonych miejscowości, gdzie fortuny robią się we trzy dni, a sława i wziętość w półtóry godziny... Wysłuchawszy tych opowiadań pełnych dowcipu, a przerywanych kilkakroć wołaniem Eframowicza do drugiego pokoju dla podpisu różnych świadectw, cofnąłem się widząc, że w nim ani towarzysza, ani przyjaciela mieć nie będę;— uważał mnie za niepotrzebnego wcale i niebezpiecznego przybłędę mającego chleb odjąć od gęby.

Wiém, że zaraz potem poczał o mnie rozgłaszać, jakoby mi był dziwnie niedołączną istotą, rodzajem kretynizmu upośledzoną, bez najmniejszego talentu; ledwie raczył mnie uznać zdolnym na cyrulika. Nie mogłem mu mieć za złe, że tak sądził z pozoru, bo mnie nie znał, a bardzo mi się mógł wydać mu złe, z moją bojaźliwością i onieśmieniem.

Powróciwszy do mojej stancyjki w miasteczku, pomyślałem o oddaniu wizyt obowiązkowych urzędnikom miejscowym. Zdaje mi się, że jestem pobłażającym w ogóle dla ludzi, ale kto chce o nich najgorsze powziąć wyobrażenie, niech tylko

zajedzie, nieznany, bez imienia i znaczenia na prowincyą do jakiejś małej miejsciny, która niezależność swą winna oddaleniu od stolicy zarządu... Ze smutkiem przekonałem się, że ludzie, którym się powierzają obowiązki w oddalonych miejscowościach z władzą wielką w istocie z powodu położenia tych osad w głębi kraju, powinni być dobierani nie tak dla zdolności, jak raczej dla poczciwości i serca... a najczęściej jest inaczej.

Wszędzie spotykała mnie duma śmieszna, zarozumiałość o swą ważność, o co mniejsza, ale arbitralność niepojęta.

Nie mówię już o urzędnikach wyborowych, marszałek bowiem powiatowy jeśli ma do tego najmniejszą ochotę, może grać rolę jednego z dawnych Bogów Olimpu, i n niego czyścić w przedpokoju każdy odbyć musi, kto do oblicza chce być przypuszczonym. Łaska wielka jeśli rękę poda i siedzieć poprosi...

Sprawnik zostający z nim w antagonizmie koniecznym, jest drugą istotą przepełnioną na prowincyi pojęciem ważności swój i stosunkową do

niego dumą, strapezy nareszcie i wszyscy, aż do ostatniego piszczyka... wszystko wzdęte, a świat mają za stworzony na to, aby oni się zeń uragali i kręcili nim wedle upodobania.

Smutne pojęcie o człowieku wyniosłem z tych odwiedzin, gdzie mnie wszędzie przyjmowano; dając uczuć wyższość tylko; nigdzie ręka i serce po chrześcijańsku uprzejmie nie wyciągnęły się ku mnie, każdy mi się chciał popisać ze swém znaczeniem, nikt z uczuciem.

Marszałek w pierwszych zaraz słowach znalazł sposób napomknąć, że jedzie zaproszony na bal do Generala Gubernatora, potrafił napomknąć, jak jest tam widziany, jak wielką ma przewagę w wyższych kancelaryjnych sferach, jak ścisłe stosunki, jak wielkie znaczenie; wreszcie oznajmił o wyjeździe do stolicy w interesach powiatowych. Sprawnik znowu usiłował mi dowieść, że marszałek jest niczém, że to tylko cieniak, a władza istotna zostaje w jego rękach, że się rządzi, a tamten coś nakształt królika konstytucyjnego, panuje, ale nie rozkazuje nikomu... Znalazł się sposób opisania mi walnego zwy-

cięztwa, jakie odniósł nad marszałkiem w kwestyi akcyzy, w dziełach inwentarzowych i t. p., a gdym wysłuchał téj Illiady, pożegnał mnie protekeyonalnie dając do zrozumienia, że powinienym coś obmyśleć na jego nagniotki.

Strapczy znown był pełen nierozwikłanych tajemnic, ale dawał nieznacznie do zrozumienia, że słowo jego w górze więcej nad inne ma znaczenia, chwalił niesłychanie Eframowicza, który mu żonę z upartój febry wyleczył, nie prosił siedzieć i pożegnał śpiesząc do sądu powiatowego. Toż samo znalazłem u sędziego, podsędków i urzędniczej ludności miasteczka, więcej zajętej tém, żeby ją kto nie wziął za pospolitych, niż żeby ich miano za ucziwych ludzi.

Prócz jednego starego Halma nie poczułem tu serca w nikim, i chłodno, smutno mi się jakoś zrobiło, alem to Bogu ofiarował. Powiedziałem sobie, że takimi życie na ustroni robić musi małych ludzi na piérwsze wejrzenie, że zbliżka się im przypatrzwszy znajdę przymioty, których z razu dostrzedz nie mogłem.

W istocie, mało jest ludzi, o którychby sądzić można z piérwszego poznania i nie omylić.

się; najeżęścięj piérwsze wrażenie oszukuje, bo człowiek stara się pokazać właśnie tém czém nie jest, i tai się z tém czém by się słuszenie miał prawo pochlubić.

Ale tak jak biedny Voltaire, co wołał by go miano za wielkiego matematyka niż za poetę, dla tego, że nie chciał być niższym od ubóstwianęj pani du Chatelet, my wszysey pospolicie wolęmy okazywać moe charakteru, dumę i próżność, niż eiche a poezciwe serea przymioty.

Do jednego Halma powrócić mi się chciało, do reszty nie miałem jakoś ochoty.

Nie powiem by mi piérwsze chwile pobytu w tém miasteczku bardzo ciężko spłynęły; ubóstwo nigdy mi zbyt nie dokuczało, bom je jako dawno znajome naucezył się znosić wesoło, eisz a brak towarzystwa dozwalały oddać się pracy, okolica była piękna, ja w sumieniu spokojny, a odosóbnienie nawet ma pewien urok dla mlodęj duszy.

Piérwsze dni spędziłem, darujcie mi, że się wdaję w te szczegóły— w zajezdnym domu w ubogięj stancyjce, późnięj nieco trafiła mi się na

jedną z głównych ulic, połowa dosyć porządnego domku, do której się przeniósłem. Miałem tu parę pokojów dla przyjęcia, gdyby kto przyszł, izdebkę sypialną, składzik, wziąłem służącego i czekałem cierpliwie co Bóg zdarzy nie zżymając się, a uznając dobroć rady Halma.

Gdy w kilka dni znów go odwiedził, stary do tych pierwszych uwag, dodał jeszcze te dla mnie pamiętne słowa:

— Słuchaj kolego, rzekł, choć ja tego nie używałem środka, i ty, jak widzę, nie masz do niego nposobienia, trzeba żebyś wiedział, że ludzie są tak biedni, że im koniecznie potrzeba trochę szarlataneryi, aby pociągnąć ku sobie. Tyś bardzo prosty i szczery, nie chwalisz się, nie masz tajemnic, nie przychodzisz z niczem nowém... trudno ci będzie!

Uśmiechnąłem się na tę nową radę Halma, ale zastosować się do niej nie mogłem, ceniłem w sobie kapłana nauki zbyt wysoko, bym z siebie dla grosza miał robić jakiegось skoczka na linie. Udławiły by mnie wyrazy jakiegось programu, który by przypominał afisze prowincyo-

nalnych teatrów, ogłaszające za każdą razą rzecz niewidzianą jeszcze, niesłychaną i nową.

Chciałem być winien Bogu, i pracy mojej to co mnie czekało, a nie słabości Indzkiej.

Tak więc pozostałem w mym eichym kątku czytając wiele, myśląc i długimi po okolicy rozrywając się przechadzkami. Czasem spotykaliśmy się z Dr. Halmem, który pomimo swjej ościężałości kochał naukę, i miał ku niej pociąg, a choć chłodny z początku poznawszy mnie bliżej stał się życzliwszym i przyjacielskim.

Z Eframowiczem widywaliśmy się mało; spodziewał się we mnie antagonisty, z którym mu walczyć przyjdzie, a widząc tak obojętnym i powolnym posądzał o jakąś tajemnicę, pojąć nie mogąc, żebym dołków nie kopał i nie knuł jakiejś zdrady. Wiedziałem o tém, że mi nasyczał szpiegów, że badał o mnie, i nie rychło się uspokoił, gdy nareszcie nie odwołałnie przekonał, że nie jestem złą i skrytą, ale według jego słów, tylko nie nie znaczącą istotą.

Kiedy go w miasteczku nie było, lub w gwałtownych razach, zdarzało się, że i mnie czasem

wzywano dla zastąpienia go. Tu taktyka jego względem mnie była zręczna choć nieprzyjaźna, mówił o mnie mało, ale zawsze z pochwałami, gdym jednak co przepisał odmienił zaraz, kiwając głową w milczeniu na recepty i dając do zrozumienia czynem, że mnie ma za nienka, gdy niby przez obowiązek stann odzywał się przeciwnie. Do konsylium wzywał Halm'a, dla którego wielkie okazywał uszanowanie lub lekarza ze wsi, mnie nigdy. Tym sposobem chciał się mnie pozbyć, alem ja nie prędko się nawet tego domyślił. Jakkolwiek mało miałem zajęcia i dochodów, nie wielkie też potrzeby, i to co Bóg zsyłał codziennie, na codzienne wystarczało życie, nie dopuszczając nawet bardzo się troszczyć o jutro. Swoboda i czas wolny pozwalały mi przedłużać studia, pracować nad rozprawą do stopnia doktora, robić postrzeżenia nad miejscowością. Byłbym wiele dał, gdyby mi wolno było zajrzeć do szpitalu miejskiego, ale ten zostawał w wiedzy i pod zarządem Eframowicza, który nie lubił, aby w jego czynności wglądano. Wiedziałem mimowolnie co się tam działo, a choć szpital w dniu rewizyi wyglądał przepy-

sznic, w ciągu roku była to tylko korzystna spekulacya dla ordynaryusza, który zdając się na cyrulika zarobił na wszystkiém począwszy od bułek do pijawek. Żydek był dostarczycielem chleba do szpitalu. Im widoczniejszém dla mnie było, że tam szachrowano niegodnie, tém mniej już napierałem się nagląć na chorych, aby mnie nie posądzano o chęć wyśledzania i wglądania w czynności, które do mnie nie należały. W razie odjazdu i komenderówki Eframowicza, nazywano zwykle Halm'a na jego miejsce, a ten też nie wdawał się tam ściśle w rzeczy nie dające się zreformować, od cyrulika tylko dla oka słuchając raportów, bo wiedział, że przy najgorętszej chęci nic nie zrobi, a nieprzyjaciela nicubłaganego zyszcze, dotknąwszy czarno podszytych tajemnic.

Zresztą te skrytości miasteczkowe są zwykle doskonale wiadome wszystkim, ale że każdy ma jakiś grzech na sumieniu, toleruje to co robi sąsiad, aby mu jego własna wina przebaczoną była. Jest to smutna parodia Modlitwy Pańskiej i prośby o przebaczenie! Ten zyskuje na więzieniu, które głodem morzy, ów na chlebie

ubogim garnizonowych żołnierzy, inny na chorych w szpitalu,— a wszyscy znają się i milczą. Jeden człowiek prawy wpadłszy wpośród nich nie nie poradzi, ale mimowolnie staje na stanowisku nieprzyjacielskiem, jeśli mu nie zarzucić nie można. Za wroga więc uważano mnie bom o nie nie prosił i nie nie miał na sumieniu.

Z smutkiem przyszło mi wejrzeć w głąb tego życia, które obnażone przeraziło i odstraszało brudami. Wszędzie samolubstwo, słabość, chęć z bogaceniam się nie patrząc jakim kosztem, choćby najbiedniejszych,— a nigdzie, nigdzie sumienniejszego przekonania o obowiązkach.

Jakiejże to potrzebaby siły, żeby to społeczeństwo zgangrenowane podnieść i odrodzić!

Powtarzam dziś com mówił niegdyś— trudniej tu niż z poganym, bo ci poganie czynu, mają pojęcie prawdy i pogardzają jej spełnieniem, wiedzą i czują, że źle czynią, a brną dalej przeciw sumieniu! Cóż zrobisz z tym, który pojmuję, że jest w grzechu i błędzie, a urągając się enocie, idzie dalej drogą poczętą. Nikt z tym tłumem nieśmie iść do walki, bo każdy czuje się słabym... a świat dalej swoim torem rusza...

Eframowicz był na hańbę świętemu imieniu lekarza, które nosił, wprost spekulantem używającym tylko medycyny jak narzędzia do zrobienia grosza. *Hoc erat in votis.*

Szpital opatrywał go w bulki, w mleko i krupki, rzeźnia miejska w polędwice, żydzi w co który miał jadalnego, bo służba zdrowia dawała mu nadzór nad wszystkiém; każde świadectwo musiało być opłacone sówicie, a o śledztwach już nie ma co mówić

W najsmutniejszych zwykle okolicznościach odbywają się te zjazdy, w których lekarz tak wielkie i ważne spełnia posłannictwo, on często jest wskazówką zbrodni lub obroną niewinności, istotą opatrzną. Posłannictwo to wielkie i święte, które się spełnia w obliczu śmierci. Eframowicz z niego, jako ze wszystkiego robił sobie przychód tylko, a im więcej rozplakana rodzina opierała się przez część zwłok otwarcin jakiego nieboszczyka, tém on silniej popierał potrzebę exenterowania, póki mu nie opłacono za poszowanie drogiéj, straconéj istoty. Tak robił zawsze i wszędzie, nmiął z prawa korzystać i u-

niknąć go, a kodex leżał u niego ciągle otwarty, bo nieustannie popełniając nieprawności, nim zasłaniać się musiał. Kochany i lubiony przez tych, co z nim te niecne łowy dzielili, Eframowicz nie wzbudzał szacunku i nie dbał o niego— podzielał hulanki urzędników, ich spekulacye, pomagał im, oni jemu i w téj zacnej spółce żył swobodny i szczęśliwy.

Przybycie takićj jak ja tajemniczćj postaci, nie dającćj się ani przywabić ani zbadać, musiało go trochę zniepokoić. Naprzód już świadek był w miasteczku niepotrzebny, powtóre posądzał mnie zawsze o złe zamiary względem siebie, i nie wystawiał sobie hym inaczćj jak na ruinie jego swoją budował pomyślność. Otoczono mnie więc siecią szpiegowstwa, o którćj wiedziałem, alem się jćj obawiać nie mógł, bo nie miałem się z czćm taić. Eframowicz wiedząc, że cóś piszę, obawiał się i tego pisania, nasadzał ludzi, którzy mu znać dawali, kiedy mnie nie było w domu, przekupił służącego i rewidował papiéry... znalazł w nich rozprawę do stopnia.

Scrapion uśmiał się łagodnie.— Było to

jedyne w życiu dzieło moje, niestety— poczęte tylko, *dissertatio de Meningite tuberculosa*...

Choć się już potem przekonał, że nie nie knuję, stosunki moje z Hahnem, mniemana uczoność, odosobnienie w jakim żyłem, wadziły mu, rad był się pozbyć i różne ku temu poczynił kroki usiłując wyprawić na wieś. Tymczasem siedziałem jednak uporeczywie w miasteczku, które dawało ubogi chleb powszedni i spokój nieopłacony. Zrana obchodziłem biednych pacjentów moich, potem często zawadzałem o dworek Halm'a, z którym zasiadaliśmy w jego ogródku na gawędkę, jeśli był w domu, co się najczęściej trafiało; wracałem na mój kawałek chleba do domu, a po obiedzie puszczałem się w okolice na przechadzkę. W porze roku kwiecistej herboryzowałem, zbierałem owady, robiłem prócz tego postrzeżenia meteorologiczne i to mnie żywo zajmowało, wieczór najczęściej spędzałem w domu nad książką. W towarzystwo miejskie wchodziłem mało i wcale go nie pragnąłem, a to moje usunięcie się od niego obudziło uczucie nieprzyjazne. Sprawnik, Strapczy i ci panowie, choć witali mnie nieco z góry, ale grzecznie;

posądzali wielce o niedobre jakieś zamiary, brzydząc się istotą podejrzaną, która ich życia podzielać nie mogła. Parę razy za Eframowicza zapotrzebowany do śledztwa, poprowadziłem je nie tak jak sobie życzyli, unikali mnie na potém, jako niewygodnego współpracownika. Z jednym więc tylko Halmem żyłem w miasteczku, a i to za złe mi miano, on sam bowiem będąc ciężki, często wyprawiał mnie na swojem miejscu na wieś i to co było potrzebą serca, porachowano mi jako spekulacją dla pozyskania sobie i odciągnięcia jego pacjentów.

Wierzeć mi jednak, mimo tego smutnego obrazu, który wam kręślę, że choć są źli ludzie, choć świat jeszcze pogański, w ogóle nie straciłszy przyrodzonego instynktu, co do dobrego wiedzieć, a jeśli sił kto nie ma je pełnić, ma prawie każdy poznać dobra i szacunek dla niego. Małuczkom ja mógł uczynić w miasteczku, przecież poznano się na mnie, leczyłem ubogich, jako lekarz nie wymagałem nic od nich, anim się kiedy targował, mając to sobie za zasadę, że ocenienie pracy naszej nie do nas należy; a żem był chętny i z serca zajmowałem się bieda-

kami, żydowstwo, mieszczenie, uboż wszelka przywiązali się do mnie nie zasłużoną wdzięcznością. Eframowicz i to miał mi za rachubę poddyktowaną nie przez serce, ale przez antagonizm przeciwko niemu, a zobaczywszy, że miasteczko całe zrana garnie się do drzwi moich, zapalił się wielkim choć starannie tajonym gniewem.

—To chytra żmija! zawołał przy cyruliku, który zaraz mi słowa jego powtórzył— potrzeba go ztąd wykurzyć... on tu dla nas wszystkich jest wrogiem, Halma wziął pochlebstwem, żydów mniemaną dobroczynnością, a dwózzłotówki płyną i jeszcze go sławią pod niebiosą wynosząc... dobrze się wziął! ha!

Takie były początki mojej praktyki, a niemożność zbliżenia się do ludzi, nienawiść jaką spotkałem, zatruty je najboleśniej. Nicem przecie nie czynił, aby wyjść z tego położenia, na które jedyną radą była rezygnacya i życie ucziwe— nie mi zarzucić nie mogli.

Powoli zaczęto się obracać ku mnie zewsząd, Eframowicz taił gniew, który nim miotał— został przy szpitalu, przy śledztwach, rodzajem

medyka-urzędnika policyjnego, jako lekarz codziennie tracąc praktykę. Spełniał bowiem ten swój obowiązek zimno, pośpiesznie, szydersko, a gdzie go większy nie oczekiwał datk, tam bez ceremonii, albo sam nie szedł i cyrulikiem się wyręczał, albo poszedłszy za ledwie spojrzeć raczył.

Spotykaliśmy się zawsze, z razu był nadszkakujący, potem już codzieln mniej tał się ze swą nienawiścią ku mnie i żalem. Nie mając sobie nic do wyrzucenia, postępowaniem mojem starałem się łagodzić nie rozjątrzać. Wpływ jego w końcu podziałał tak na urzędników i miasteczko, żem ani jednego domu przyjaznego nie zachował oprócz chatki Halma... i moich ubogich.

Chodziłem do Kościoła, zdaje mi się że i pobożność moją Eframowicz przeciwko mnie obrócił, był to rys bardzo przypadający do fizyognomii, jaką mi chciał nadać—hipokryty i świętoszka.

Co sobie zadał pracy, aby na mnie znaleźć jakąś głośną i wielką kondemnatę, trudno dziś wy-

powiedzieć, wolę to pokryć zapomnieniem i przebaczeniem.

Grosz ubogich, od którego często nie obrażających odprosić się było niepodobna, datek zamożniejszych ludzi, z którymi Halm stosunki mi porobił, oszczędność nie nie kosztująca bo konieczna dla mnie, postawiły mnie po niejakiem czasie w tak szczęśliwém położeniu, że parę koni i bryczkę porządną mógł nabyć i swojemi już kucykami jeździłem do oddalonych chorych po wioskach.

Wielkie to powołanie kapłana-lekarza, gdyby je tak pojąć chciano, nie jako chleb ale jako posłannictwo. U łoża boleści, w chwilach niebezpieczeństwa, jakże skutecznie i na duszę działać można, jak wielki obowiązek leży na nim poszanowania człowieka w boleści, łagodność dlań i świętego rycerstwa prawdy, a nie pobłażania złemu! Ale na to samemu apostołowi czystym i uświęconym być potrzeba. Ileż to razy słowo leczy lepiej od lekarstwa, pociecha religijna umacnia, niezucie rezygnacyi wlane w porę, ochładza i uspakaja. Każdy by kapłan powinien być razem lekarzem, i każdy lekarz kapłanem; z dwójga tych władz nad duszą chorą i ciałem, jak sil-

na wyrodziła by się potęga nad ludźmi, jak skutecznie mógł by nią działać wiodąc ich ku dobru.

Halm stary, ze szkoły jeszcze Franków i XVIII wieku—gdym przybył do miasteczka i zapoznał się z nim, z razn mimo dobroci serca przykre na mnie zrobił wrażenie niedowiarstwem swoim, które wci wlała stara nauka bez ducha, zimna, szukająca bezpieczeństwa i portu w sceptycyzmie.

Ale w tym zacnym człowieku trwała na iskiecie niedogasłej oparta, walka tego co wci wpojono, z tém ku czemu wiódł go instynkt potrzeby wiary i przeczucia jój prawdziwości. Materyalista był razem mistykiem, religiję odpychał ale przypuszczał mnóstwo tajemnie, wysoko podnosił ducha, miał potrzebę modlitwy, walczył z tą, jak ją nazywał słabością.

Medycyna na nieszczęście, jest jedną z nauk najbardziej ostudzających człowieka i przykuwających go do rzeczywistości. Halm gdy się stał medykiem, w nic już nie wierzył, wracając do prywatnego życia, do człowieczeństwa swojego, wzdychał ku zamkniętym światom ducha. Zdaje się że rozmowy ze mną i stosunki nasze

coraz częstsze, obudziły w nim chęć poznanie-
nia się z dziełami, któreby go w przedmiocie re-
ligijnym objaśnić mogły... począł czytać Nicolas'a,
wziął się do innych ksiąg apologetycznych, zna-
laźł w nich nowe, żywe zajęcia i jakąś pociechę.
Nie raz ja mu głośno czytywałem w ogródku i
takeśmy na tych umysłowych biesiadach pędzili
długie godziny; starzec przychodził do zgody z so-
bą, i to mu na wiek już późny zostało wielką po-
ciechą, dało pokój wewnętrzny jakiego nie znał
dawniej.

Ten nowy stosunek utrwalił przyjaźń między
nami, a poznawszy mnie bliżej, Halm przywią-
zał się jak osamotniona starość do odżywiającej
ją młodości przywiązywać się mnie. Z drugiego
końca miasteczka często przychodził do mnie,
siadywał do późna. Naówczas powracającego ja
go znów odprowadzałem i rozstawaliśmy się często
nad rankiem. Gdy do tego przyszło, Eframowicz
nie mogąc sobie inaczéj wytłómaczyć stosunków,
jak pochlebstwem z mojej strony, a słabością
z drugiej, mocniej się przestraszył jeszcze o pa-
cyentów, których mu mogłem odebrać, odziedzi-
czając ich po Halmie.

Widziałem jak rosła i wzmagala się jego i przyjaciół nienawiść ku mnie, alem ją rozbijał spokojem i pokorą, nie dopuszczając walki niepotrzebnój i drażniaczej.

Często mi to Halm wyrzucał, że zbyt mało o godność swoją stoję, gdy Eframowicz najrozmaitsze wymyśla przeciwko mnie niedorzeczności i figle mi płata, alem postanowił milezcć i cierpieć póki by szło o mnie.

Walka wyradza gniew, a ten jest najgorszym doradcą, i sam przez się uczniem ohydném, bydlęcém, strzedz się go należy, bo gdy raz ta namiętność obejmie, człek nie jest już panem siebie, nie wie dokąd go ona zaprowadzić może. Z razu gniew w zarodku zgnieść można w sobie, później już siły nań nie stareją—wypleć go musisz z duszy nim wyrośnie, bo zboże zagłuszy.

Robiono mi tysiączne maleńkie przykrostki, naczeczano do najtrudniejszych czynności, na podróże i dalekie komenderówki w porę najmniej dla mnie wygodną, podbudzano na mnie w miasteczku, rzucano potwarze, znosiłem wszystko—ale walka była nierówna—Eframowicz codziennie

się uzuchwalał, a ja ni go bierną cierpliwością nie mógł zwyciężyć.

— Słuchaj WPan, rzekł widząc to Halm, ty się tu zagryziesz, a raczej oni cię zagryzą, jakkolwiek znosisz cierpliwie, ale albo nie wytrzymasz w końcu i wdasz się z temi niegodziwcami w walkę nierówną, albo cię oni bezbronnego zgniotą i zamęczą, na to potrzeba coś radzić!

Kilka już lat przeżyłem w tym kątku i przywiązałem się do niego, ciężko mi zawsze rozstać się, bo przyrastam do miejsca, przekonany nawet jestem, że natura człowieka nie przeznaczyła na tulaństwo, ale na stałe osiedlenie, które jest dlań warunkiem szczęścia. Nie wierzę w to żeby gdzieś lepiej było jak gdzieindziej, ci co się łudzą tą nadzieją, dopiero w końcu zawodu swego przekonywają się, że to co im zatruwało życie, w nich mieszkalo nie po za niemi. Bardzo mi się nie chciało opuszczać miasteczka, do którego szczerze się przywiązałem, gdzie oprócz tej szajki Eframowicza nie miałem nieprzyjaciela. Nie rozpoczynając przeciwko nim krucjaty, zdawało mi się że oni też w końcu w pokoju mnie zostawić powinni. Wypadło tymczasem jakieś

śledztwo, Eframowicz był już w powiecie, pilno potrzeba było obejrzeć trupa;— wysłano mnie, dodając dla straży cyrulika, prawą rękę Eframowicza. Był to wypadek nagłej śmierci, zdarzony w domu, gdzie nikogo nawet ani się o zbrodnią posądzić godziło— umarł gospodarz, głowa domu, po którym płakała żona, troje dzieci, którego słudzy kochali... gdzie nie było śladu ani interesu co by pobudził, ani nieprzyjaciela któryby zbrodnię wykonał.

Uważałem ten wypadek jako dopełnienie prawnej formalności. W drodze już cyrulik mi szepnął, że się domyśla iż tam być musi kryminał, iż krążą gawędy o jakichś podejrzeniach; ofuknąłem go za to, będąc pewien że to natchnienie subalterna, który Eframowiczowi, sobie i polieyi chciał napędzić nieprawego zysku. Dom był bardzo zamożny, sam mój przyjazd przeraził, a gdy cyrulik szepnął że potrzeba będzie ciało egzenterować, żona nieboszczyka przyszła i do nóg mi się rzuciła, ofiarując co zażądam, bylebym nie profanował zwłok męża.

Pieniędzy nie przyjąłem,— obiecałem co będzie można i sam poszedłem do ciała, na którym wi-

dne tylko były ślady gwałtownej apoplexyi. Z badania ludzi nieokazały się żadne symptomata otrucia, któreby podejrzenie rzucić mogły, uznałem więc dalsze poszukiwania przyczyn śmierci za zbyteczne... Chirurg moeno obstawał za otwarcie ciała, alem mu stanowczo oświadczył, że nie widzę tego potrzeby, uspokoiłem rodzinę i odjechałem. Na drodze już spotkałem Sprawnika i Eframowicza, którzy lecieli na miejsce.... pokazałem im akt sporządzony, pokiwali głowami, zabrali go i pojechali.

Tajemne doniesienie wskazywało istotnie służącego, który do pana o żonę swoją żal mając, podać mu miał silną truciznę; pozory były straszne, a ja winien się okazałem, że zbyt dobrze trzymał o ludziach. Dostałem się naturalnie pod sąd, musiałem opłacić urzędnikom od potępienia ostatecznego, i w całej tej nieszczęśliwej sprawie, postępowanie towarzysza wykazało mi niechęć głęboką, zajadłą, nieprzyjaźń niezwyczajną... Mimo odwagi wewnętrznej, która mnie nie opuszczała nigdy, osłabłem i zawahałem się, a gdy przybył do Halma po ostatniemu badaniu, łzy mi się w oczach kręciły.

On wiedział już o wszystkiém, o moim kłopotcie, o tém jak mnie zgnieść usiłowano i że mnie odarto w sposób najohydniejszy. Jeden z nich wziął u mnie pieniądze, sam się sposobem pożyczki o nie upomniawszy, bobym mu ich dać się nie odważył, drugi niby kupił u mnie gwałtem bryczkę i konie... Eframowicz bez ceremonii posprzątał z domu co było lepszego aż do książek.

—Wiesz co, rzekł Halm— ty tu wytrwać nie potrafisz, to niepodobieństwo, osiadź na wsi, właśnie Hrabia IX. mówił mi o tobie z tą myślą, ażebyś u niego w miasteczku przy jego rczydencyi, jako lekarz nadworny zamieszkał; dom uczeiwy, ludzie zacni, płaca mała, ale praktyka w sąsiedztwie w pomoc jój przyjdzie, wieś, spokój, swoboda, życie ciche, towarzystwo dobre, i w dodatku nie będziesz patrzył na tych łajdaków.

—Chciałbym wprzód choć własnemi oczyma zobaczyć to Eldorado, rzekłem Halmowi.

—No! to ja cię zawiozę, odparł stary.

Nazajutrz pojechaliśmy do Waliborowa. Samego Hrabiego widziałem z daleka razy kilka,

był to stary już człowiek, dobry, łagodny, grzeczny, zawojowany przez żonę i mający jedną tylko słabość do pisania wierszy francuzkich. Wychowanie, które odebrał, młodość spędzona za granicą, naśladowanie innych uczyniły go Francuzem, a nie wiem kto mu mógł podać, że był poetą. Przekonałem się później, zbliżywszy się do niego, że nie ma w świecie nic łatwiejszego, jak pisać poezye francuzkie, jest to właściwie język, który nie z wyrazów jak inne, ale z całych składa się frazesów, myśli, zdań wystercotypowanych... Jak skoro po naszymu zechcesz to rozbić na części składowe i użyć cząstek swobodnie, już to nie będzie francuzczyzna. Ten tylko mówi i pisze dobrze po francuzku, kto nżywa całych frazesów odlanych od razu; i najdowcipniejsi ludzie, najwięksi pisarze są jak zegarmistrze genewscy, którzy kółka kupują w jednej fabryce, sprężyny w drugiej, czasem cały werk osobno, kopertę oddzielnie, cyferblat sprowadzają, a sami składają tylko części gotowe. Ztąd, żeby pisać i być pisarzem francuzkim, rozumie się po politym, nie wiele potrzeba, złoży się zawsze z tych sztuczek jakiś komunał nie bardzo bezsen-

sowny, a ja się tylko temu dziwnię, jak dla istotnie oryginalnych i myślących pisarzy we Francyi musi to być wielki kłopot, żeby się z więzów pospolitości wyłamać. W nic jednym z nich widzę, lub zdaje mi się, że dostrzegam to pragnienie i usiłowanie, nie mało kosztujące pracy, a często bezskuteczne.

Mój Hrabia ze swemi poezjami, które były najczystsza pisane francuzczyzną, nie zadawał sobie tego kłopotu weale: brał, przypominał, sztukował, porównywał to potém do innych i był najpewniejszym że stoi na wyżynach Victora Hugo, A. Musset i Lamartina. Brakło mu tylko tego, żeby się pokazać w Paryżu, naturalizować i zasiąść w cenaku czterdziestu nieśmiertelnych. Oprócz lekkich poczyj, pracował od lat dwudziestu pięciu nad wielkim poematem romantycznym. *Ostatni trubadur*. Zresztą jako człowiek, Hrabia IX. był najpoezijszym, żonie nlegał jak dziccię posłuszne, sąsiadem był uprzejmym i do usług gotowym, chrześcijaninem gorliwym, i eo w nim niedoskonałości znalazłś, potrzeba było przypisać je światu, zakucić się w jego przyzwyczajenia, nawyknienia i formuły.

Niech mi tu wolno będzie, przyjaciele moi, choć oklepaną może powtórzyć raz jeszcze prawdę, że to co się zowie światem i formy świata, wiele w istocie czynią złego, gdy kto im służy niewolniczo. Są ludzie co dla świata wstydzą się praktyki enoty i praktyk religijnych, co dla mnie-maniej przyzwoitości nie spełniają obowiązków, co się gorszą dobrowolnie, aby zejść do poziomu pospolitych ludzi i zrównać się z niemi, nie mając odwagi do wystąpienia przeciw światu i wy-maganiom jego.

Jeśli co do nawrócenia pogan dzisiejszych staje na przeszkodzie, to ta fałszywa cywilizacya formy, która szkodliwszą jest niżeli się zdaje. Ani pokazać boleści, ani objawić oburzenia, ani skareić występku nie dozwala świat i przyzwoi-tość... ani się odróżnić od innych, choćby po-czeiwie nie wolno, tłum ciągnie, idzie się baran-im sposobem za tłumem. Ludzie najpoczeiwni a słabego charakteru, gdy raz zagrzną, czują dobrze iż wpadli na drogę fałszywą, a zejść z niej nie mają siły, wależą z sobą i nie mogą się pod-nieść nad tę falę, nad którą głowy podźwignąć nie wolno.

Falszywy wstyd opanowuje ich w chwili najpoczeiwszych postanowień,— tego powiedzieć się nie godzi, tamtego wyznać nie wypada, to nie uchodzi w salonie, to cię poda za źle wychowanego człowieka, i tak przez owe formy żelazne, odcjmujące wszelką samoistność, wpadamy w optymizm a raczej zobojętniałość na wszystko. Po-
czynamy od tolerancyi wszystkiego w drugich, a kończym na zgubném pobłażaniu samym sobie. Kochać potrzeba bliźniego, ale mu pobłażać się nie godzi, tém mniéj sobie. Miłość powinna dać siłę ratowania brata! gdybyśmy widzieli kogoś trującego się, czyżbyśmy mu nie wyrwali z rąk naczynia, i nie rozbili je, choćby to mogło być niegrzeczném?...

Dom Ixów cały stał na formach, był on jednym z najpospoliciéj u nas trafiających się, poczeiwy, przyzwoity, a pełen nielogiczności. Wszyscy w nim byli gorliwi katolicy, ale spełniając co nakazywał kościół do drobnostek, nie troszczyli się o wyższe prawdy religijne i wprowadzenie ich w czyn, o zaświadczenie wiary życiem. Było trochę arystokracji, było dużo francuzkiéj galanteryi, ale wiele i dobrego, bo religija ma to

do siebie, że ei nawet co jój powierzeliownie tylko się trzymają i spełniają bodaj formy same, już są niemi nawet pociąganiemi mimowolnie ku dobremu.

Dom składał się z samego Hrabiego, poety i francuza, z Hrabini, niegdyś cudnie pięknej a teraz jeszcze bardzo widoczne ślady téj piękności zachowującej starannie, kobiety dobrej ale słabej, lekkiej, zalotnej, pragnącej hołdów, uwielbień, czcicieli i przypomnień młodości choć miała więcej lat czterdziestu;— z córki Eweliny, osiemnastoletniej, wychowanej do świata i wedle świata panienki, i towarzyszkii jój, ubogiej dziewczyny, wziętej ze szlacheckiego dworku dla zabawy pańskiego dziecięcia.

Oprócz tego były dwie guwernantki, francuzka uczona, której Hrabia swe wiersze czytywał i muzyeczka niemka, blondynka dość ładna, uczennica konserwatorium, żyjąca tylko muzyką. Dalej jeszcze znalazłem rezydenta, dalekiego knyza, coś naksztalt marszałka dworu, młodego i ładnego mężczyznę, który używał opinii faworyta samej pani, kapelana, zaenego człowieka mającego tę wadę, że nad wszystko polowanie lu-

bił,—i zawsze liczne bardzo towarzystwo zwabione wdziękami panny Eweliny, stosunkami państwa i stopą domn pańską, stołem, kuchnią, muzyką.

Ujrzałem się nagle wcale nowym świecie, czując że i w nim dosyć mi będzie ciężko, jeśli zechcę wedle sumienia iść prawdą i prawdę mówić szczerą.

Przyjęto mnie z tém zresztą bardzo słusznem niedowierzaniem i obawą, z jaką ostróżni oglądają każdego, mając go przypuścić do swojego rodzinnego koła, towarzystwa i życia powszedniego. Świat aż nadto usprawiedliwia tę nieufność, a znajomość serca ludzkiego i własnej słabości, powinna nas w wyborze towarzyszków i przyjaciół czynić oględnymi. Nic obrazilem się tém bynajmniej, że mnie oglądano z trochę dziwną eiekwocją, którą łagodziły grzeczne formy. Halm wprowadzie, którego tam ceniono, a szczególnie lubiła sama pani, bo miał u niej stare zasługi, ręczył im za muic, ale nie mniej poznać i wypróbować musieli sami.

Proszono pod pozorem jakiejś słabości, ażebym został na cały tydzień, a ja postanowiwszy

prawie poddać się losowi nie robiłem trudności. Choć form im zwyczajnych nie znałem i to mnie śmielszym wielk ozeach czynić musiało, wprędce schwyciłem główne prawidła życia, do których sumienie pozwalało się zastosować, aby im sobą nie psuć zgody i harmonii życia. Nie mogę powiedzieć, bym na wstępie znalazł tu nieprzyjazne użecia, pani tylko zawsze okazywała się zimną dla mnie ale pełną uprzejmości, reszta domu ży-ezliwą. Największą dla mnie trudnością było, żem języka francuzkiego nie znał tak dobrze, aby nim mówić z łatwością, bo tu oprócz sług, wszyscy mówili po francuzku. Ale jako lekarz i figura podrzędna, mogłem się nie mieszać do rozmowy; mnie to jednak i ich zarówno jakoś kłopotowało.

Z razu wystawiony na rodzaj badania, użezłem boleśniej położenie moje, ale po dwóch dniach poddałem się téj torturze z uśmiechem. Nie było w śledztwie niczyezliwości, Hrabia instynktowo mnie polubił, Hrabina mogła znosić, choć potrzebowała charakteru więcej nad mój do pochlebstwa skłonnego, jam się jój wydał zimny. Szczęściem, oddała mi z innych względów sprawiedliwość, bo-

bym się mimo pana domu nie utrzymał, gdyby ona zaprotestowała. Francuzka, wielka ulubienica pani, może dla tego nie zupełnie niechętném rzuciła na mnie okiem, że upatrywała w przyszłości łatwą dla doweipu igraszkę, a że często chorowała łatwego i powolnego lekarza. Słowem, przyjęto mnie po tygodniu próby za domownika i jam się tu znalazł lepiej i wygodniej. Atmosfera tutejsza w inny może sposób nie zdrowa, przyjemniejszą jednak była do oddychania niż miasteczkowa... Zepsucie tu nie było ani tak bezwstydne, ani tak głęboko zakorzenione.

Zrazu postawiono mnie w pałacu, ale Hrabia kazał wyporządzić apartament w oficynie aż nadto dla mnie wygodny i obszerny. Zyskując wiele pod innemi względami, straciłem tu wszakże jeden z darów, których się człowiekowi wyrzee najtrudniej— swobodę ruchu i godzin. Nie byłem panem ani czasu, ani siebie, zmuszony zastosowywać się do wszystkich i wszystkim ulegać. W chwili najupodobańszej pracy wywoływano mnie dla obejrzenia palca Hrabinię zakłutego od szpilki, dla kaszlu francuzki, która nie mogła się zdecydować czy Pate de Regnault czy

Ipeeacnanha Losenges nań użyć.— Kapelan ciągnął mnie na polowanie, niemka potrzebowała niekiedy słuchacza, gdy się z grą popisywała, Hrabia na nowy wiersz, jeśli go nie przyniósł do ofieyn, to do siebie powoływał—słowem, nie miałem pokoju.

Do osób, o których tu wspomniałem, dodać jeszcze muszę Pannę Ewelinę, z której uczyniono dobrowolnie istotę nie znaczącą, płochą i niepojmującą weale ważnych zadań życia. Matka, która władała interesami, gospodarstwem, domem i miała swoje zajęcia, raz lub dwa tylko widywała ją we dnie i zdała na Madame Voyou i Fraulein Drescher, które się wyłącznie jój wykształceniu poświęciły.

Przy niej, jakem już mówił, była towarzyszką rówieśnica, imie jój było Lucyą.

Serapion westchnął, spuścił oczy i zatrzymał się chwilę.

—Toé już widoczna, rzekł szydersko Longin, żeś się Wasza Świątobliwość musiał w niej zakochać... oszczędzam twój skromności to wyznanie...

—Człowiecze! rzekł poważnie a łagodnie ka-

plan, spójrzyj na suknię moją i wstrzymaj się od szyderstwa... Nie nie było w tém użeciu poezji wém, czego bym się dziś mógł powstydzic, i wyznanie to kosztować mnie nie będzie.

Lucya jak ja, była dzieckiem ubogich rodziców, ale pociwigo dworku naszego co stare przechował enoty. Wychowano ją w domu pociwie i święcie i był to anioł dobroci, jak anioł wdzięku i prostoty, w tym domu, przyjaźnym zresztą, przebywający ciężki czysciec próby. Uczyniono jęj pozorną łaskę dozwalając korzystac z nauk obok Hrabianki, ale dziecie strzechy słomiannej opłacało się tysiacem upokorzeń.

Naprzód całe to życie, w które weszła Lucya było dla niej niezrozumiałem, bo wychowana po chrześcijańsku inaczęj pojmowała cel jego, potem przypuszczona do tęg świątyni musiała stać zdala jak neofita, a wszystko co w niej dobrego było przeciwko niej świadczyło i kryć się musiała z całą duszą, aby nie zasłużyć na posmiech otaczających. Bóg jęj dał ku temu anielską cierpliwość i pokorę; nowieyat życia odbywała cicho, nie skarząc się, nsmiechnięta choć nieustannie upokarzana i drażniona. W innęj

byłoby to obudziło uczucie nienawiści, zemsty, pragnienie usamowolnienia, bo nie tak nie jątrzy charakteru, jak położenie podobne, niby równe, w rzeczy niższe i narażające na nieustanne drobne ukłucia. Lucya była stokroć szczęśliwszą w domu, ale rodzice chcieli dla niej tego świętego wychowania, wysoce ceniłi sobie umieszczenie przy hrabiance, nie było sposobu wyłamać się z tego.

Pani Voyou głośno i cicho lubiła porównywać swe dwie wychowanice, zawsze nalegając na rodowe przymioty i dystynkcyą Eweliny, na jej zdolności i talenta; Franlein Drescher nieco była przyjaźniejsza Lucyi, ale różnice wieku i położenia nie dopuszczały między niemi poufałej przyjaźni. Dwór naturalnie padał na twarz przed hrabianką a Lucya była cieniem, który tę światłość podnosił— było by to dla niej najmilszém, gdyby gwałtem nie wrywano jej z kątką, w którym zostać pragnęła.

Moje położenie i charakter naturalnym mnie jej czyniły sprzymierzeńcem, chociaż nie rychło ośmieliłem się ku niej oczy obrócić.

Przybysz w tym domu, zrazu wystawiony by-

łem na tysiączne próby, z których wyszedłem zwycięzko, z wyższego stanowiska poglądając na ten świat niż ei eo go zamieszkiwali.

Nie było w moim charakterze ani kłamać, ani pochlebiać, alem też nie był skwaszonym opozyyonistą, eo wszystko karei i złém widzi. Gdy mnie pytano mówiłem prawdę, gdy nie badano milezałem, jeślim nie był przyjemnym, byłem przynajmniej nie zawadny.

Położenie lekarza jest takie, że go wszysey niemal potrzebują, więc choć grzeczni dłań być muszą— znalazłem też wszystkich dla siebie dosyć dobrze usposobionych. Od zbytniej niewoli dworskiej i salonowej uwalniały mnie obowiązki, bo wielki klucz, w którym hrabina pozakładała lazarety i trzymała cyrulików dla włościan, nieustannie objeżdżać musiałem.

Dopełniałem tego chętnie i z największą gorliwością. Pierwszy to raz zbliżałem się do ludu naszego, który wielce się różni od mieszczan lepij mi znajomych,— zajęło mnie tu wszystko, opuszczenie jego, niedola, ciemnota i wrodzone przymioty wielkie, które uznać musi każdy, eo wieśniaka bliżej poznaje. Nie występkom jego

i wadom, ale enoeie i zasługom dziwić się tu potrzeba. Lud wschodzi jak trawa, jak trawa rośnie i jako trawa jest zdeptany; jeśli tam kwiat jaki wykwita to eudem. Bóg mu dał więcéj niż ludzie.

Objeżdżając elaty, wchodząc do nich, poznając się z włóścianami, prawdziwą w tém apóstolstwie znalazłem przyjemność, ale zarazem przeraziłem się stanem ciemnoty w jakim go ujrzałem. Rozum, którego nikt nie kształci i nie prostuje, serce którego nie nie zmiękcza, instynkta, które przeważnie same sobą kierują, namiętności, których nie nie przeciwważa... a wiara czystą formą tylko... oto stan ludu naszego. Pomimo tych przeszkód lud ten, w gruncie, jeśli go do rozpacz nie przywodzą łagodny, łatwy ku dobremu, szlachetny, na poświęcenia gotowy— ale położeniem pognębiony, pozbawiony piérwszych zdrowych pojęć, które mu są najpotrzebniejsze, cóż dziwnego, że się czasem obłąka?

Jedno tu tylko na przykład przywiodeć, pojęcie własności. Złodziejstwa są bardzo częste, dla czego? bo elłopek zupełnie wyłącznej wła-

sności żadnego pojęcia nie ma. On sam nie posiada siebie.— Ja pański, powiada, pan Cesar-ski, a wszystko Boże! wszystko więc wspólne... Własność uważa jako Proudhon za nadużycie tylko i przesad... Jest w tém komunizm staréj gminy słowiańskiej, jest tradycja i skutek położenia długo niewolniczego. Nie waha się więc chłopiek wziąć cudze, bo mu się zdaje, że cudzém jest chwilowo, konwencyonalnie, a choć mu tego nie wydzielono, ono równie do niego, jak do wszystkich należy. Możeż być inaczej, kiedy nie ma własności on sam, i parą wołów roboczych i ziarnem zapracowaném rozporządzać nie może, *uti et abuti...*

Przywiódłem jedno tylko pojęcie, którego mu braknie, ale ileż innych fałszywych! a któż myślał kiedy o ich sprostowaniu?

W pałacu zamierzano niektóre ulepszenia bytu włościan naśladować w tém popęd ogólny, ale gorąco nie zajmowano się nimi. Hrabina wszakże wdzięczną mi była za urządzenie lazaretów i pilność moją, choć nie byłaby darowała pewnie, gdybym śmiertelnie chorego chłopka nie porzucił dla jéj zdraśnionego paluszka,

paluszek hrabiny, w jój przekonaniu wart był nieskończenie więcej niż nie jedno życie wieśniaka.

Wiedliśmy w Waliborowie żywot znośny, a dla innych może nawet wesoły, gości bywało dosyć, bo sąsiedztwo bardzo ten dom lubiło, a trzeba oddać sprawiedliwość hrabiemu, że był niesłychanie dla wszystkich uprzejmy i grzeczny. Było w tém coś i polskiej stariej gościnności i francuzkich form wyszukanych, ale razem wzięte czyniło go to jednym z najprzyjemniejszych gospodarzów domu. Do nikogo jednak mocniej nie przysłało serce moje, nawet do kapelana, który był poezciwy, ale opanowany namiętnostką dziceinną, tak, że nie marzył jeno o myślistwie i mszę świętą odprawiawszy, wyciągał w pole, a nie wracał aż późną nocą. Marszałek dworu był ze mną zdaleka, bo się miał jako krewny państwa za człowieka innego świata, ja zaś nie ta-ając się z mojém pochodzeniem otwarcie o niém mówiłem.

Lucya ze wszystkich była dla mnie istotą najsympatyczniejszą; powziąłem ku niój, nie miłość, bo tego ucznia nazwać mi trudno wyrazem tak

wytartym, pospolicie oznaczającym szal chwilowy,— ale raczój przywiązanie braterskie i eześć poczeiwą. Nasze dusze rozumiały się, eharaktery przystawały, położenie nas zbliżało i nie w tém nie było zadziwiającego dla nikogo. Sądję nawet, że się domyślano wprzód koniecznego przywiązania mego do niój, niżeli ja sam je poznałem, a raczój po świeeku obraehowano, że młody w kimś a najprędzój w pięknej Lucyi zakoehać się muszę.

Nie było to jednak zakoehanie... jam go w życiu nie znał, koehałem w niój istotę wybraną, biedną a poczeiwą, silną i niezepsutą, pełną godności i wdzięku. Ona mi tu ze wszystkich wydawała się najidealniejszą, choć piękności i dziewiczego uroku pewnie więccój było w Ewelinie—istocie powietrznój, uśmiechniętój łzawo, poważnej, troche zalotnej i jak matka już potrzebującej do życia atmosfery kadzideł i pokłonów. Prócz matki, która ją po swojemu na zimno koehała, Ewelina była od wszystkich wielbioną w całym dworze i nieco przez to zepsutém dziecięciem. Stłumiono w niój umyślnie świętą pokorę, podniecono próżność, wmówiono, że jest

wybraną istotą— przepowiadano losy świetne,—
niemal koronę.

Pani Voyou była w tém niewyczerpaną; ojciec na klęczkach był przed nią— matka kochała w niej swą młodość, jakże nie mieli trochę ją popsuć i nauczyć egoizmu? Straszno było patrzeć na to rozkołysane szeptem dziecię i pomyśleć, że los tak często urągający się przepowiedniom, mógł ją dotknąć i wystawić na próby, na nieszczęścia, przeciw którym weale nie była przygotowaną. Nędza, upokorzenie, cierpienie, gdyby ich Bóg dobrotliwy nieoszczędził temu słabemu dziecku, byłyby je zabiły lub zawiodły nie wiem w jakie przepaście... pochlebstwo mogło ją obłąkać, lada przeciwność złamać;— nie miała pojęcia życia, nie była weale przygotowaną do walki; każde jęz zachęcenie było rozkazem, którego słuchali wszyscy, każdy uśmiech tryumfem, każdy smutek klęską publiczną...

Kochała ona Lucyę, ale tak jak pieszczochy kochają, każąc sobie za miłość odslugiwać, nosząc się z nią jako z rzeczą wielką, chwalaąc ją, czyniąc z niej aureolę; nie była to przyjaźń ci-

cha i głęboka, ale rzecz na pokaz stworzona, a między czterema ścianami słabnąca... trochę serea a wiele komedyi.

Wyzwolony od Eframowicza, wdzięczny był Halmowi, że mnie tu umieścił— jakkolwiek nigdzie między ludźmi zupełnie dobrze być nie może, spokojniej mi tu było przynajmniej, a uniknąłem zetknięcia z tym światem urzędniczym, którego już miałem zanadto. Czasem jeździłem tylko do miasteczka, aby starego doktora pozdrowić, poradzić się z nim, i dzień jaki w towarzystwie jego przepędzić.

—Słuchaj no, rzekł mi raz, gdy do niego przybył— tu już zaczynają mówić, że ty się cheesz żenić z Lucyą? czy to prawda?

—Ja żenić się!— zawołałem z uśmiechem— ja co nie mam jeszcze ani grosza na jutro, ani dachu własnego, eom nigdy na żadną kobietę z tą myślą nie spójrzał i o małżeństwie ani mi się śniło? Któż to mógł przydumać?

Halm ruszył ramionami.

—Chleba kawałek zawsze mieć będziesz, jesteś na drodze do zarobienia go, nie zabraknie ci jeśli zechcesz... o to nie masz się co troszczyć.

Ale małżeństwo to zadanie trudne dla sumiennego człowieka, rozmyśl się wprzód dobrze.

—Ale ja ani mogę, ani chcę o tém myśleć!— rzekłem:

—Tak?— spytał stary niedowierzająco.

—Najpewniéj.

Na témeśmy się rozeszli, ale wróciwszy, skutkiem może podrzuconéj mi myśli, uważniéj począłem spoglądać na Lucyą. Nigdy dotąd nie zbliżał się do niéj, nie przemówił prawie, obawiając się tego dla niéj i dla siebie;— nie przybliżyłem się i późniéj, ale z mojego kąta w salonie miło mi było na nią patrzeć i cieszyć się tą istotą Bożą, wśród czysto ziemskich stworzeń promieniejącą blaskiem skromności i prostoty.

Lucya eichą była, bojaźliwą, pobożną niezmiernie, za dawnych czasów byłaby sobie pewnie obrała klasztor i w nim Boga chwaliła,— wiek tylko ostygléj téj myśli nie przypuszczał, i nie dozwolił ani osnuć ani spełnić pragnienia. Wśród dworn dosyć płochego, ona jedna czystemi oczyma nie widziała, co się w koło niéj działo, nie złego pojąć nie mogła, i uśmiechała się niewinnością duszy niepokalanéj. Pół dnia naj-

częściej spędzała w kaplicy na modlitwie, resztą przy pracy lub na posłudze Eweliny, inaczej bowiem tego, jak usługą nazwać niepodobna.

Trzy lata upłynęły mi, jako jeden dzień w tym domu, z którym ja i on ze mną połączył się węzłami jakiegoś nałogowego przywiązania; nie pokochano mnie może, ale mnie znoszono i lubiono nawet, hrabina nie mi do zarzucenia nie miała, zadając jedynie żem był zimny, bom przed nią jak inni nie padał na twarz. Tu poznałem lepiej to co się nazywa światem i eo dziś przedstawia stary ów polski świat szlachecki. Ścisnęło mi się serce na widok ludzi w głębi poezii i dobrych, ale dziwnie lekkich i nieumiejących ani myśleć, ani pracować dla przyszłości. Wszyscy chętnie narzekali—nikt nie nie czynił, umieli boleć a nie myśleli nawet o ratunku na swą chorobę, dnrzyli się zabawą i každy zdawał się tylko troszczyć o to, by sam do końca jakkolwiek życie dopędził. Wielkie obowiązki i enoty, do których my więcej od innych jesteśmy przymuszeni położeniem naszym, wszystkim zdawały się konieczne dla drugich, niepotrzebne

dla siebie. Czasem w salonie dotknięto tego przedmiotu, wyzwano i mnie, a chociaż jak mogłem najłagodniej wypowiadałem myśl moją, jeszcze się im za surowym wydawał. Lueya naówezas patrzyła na mnie tak, że w jej duszy czytał, iż się ze mną zgadzała.

Nie będę wam opisywał tych lat kilku życia jednostajnego... przychodzę do tej boleści, która mnie na wieki w czarną suknię oblokła, do przełomu w życiu mojem, którym podobało się Bogu dotknąć mnie, aby od świata oderwać.

Byłem w Waliborowie, gdy cholera wybuchnęła naprzód w okolicy, później w samym miasteczku. Strach powstał nadzwyczajny, a sama hrabina posuwała go do śmieszności prawie. Pałac opasany został kwarantanną, a ja eom był zmuszony codziennie jeździć do chorych, musiałem się poddać oczyszczeniu najdziwaczniejszemu, i ledwie miał pozwolenie z daleka od pani znajdować się w salonie.

Pozwożono zewsząd lekarstwa, antidota, zapachy i w najokropniejszej trwodze hrabina, pani Voyou, która to uźnieie podzielała, cały dwór,

oczekiwali końca téj klęski srożącój się coraz gwałtowniej. Choroba wybuchła naprzód z wielką siłą po wioskach, potem w samój mieścinie położonój nad stawem i zasianój żydowstwem. Dnia ani nocy nie miałem wolnój, ale dosyć szczęśliwie udawało mi się przychodzić w pomoc chorym środkami najprostszymi, byle prędko. Wyrobiłem sobie to przekonanie, że tu nie chodzi o speyfik żaden, którego zresztą nie ma, ale o zyskanie czasu, po którego nplywie nie jest w stanie dezorganizacyi zapobiedz.

Godzina takiój kary Bożój dla człowieka, co jest do śmierci przygotowany, przytomny i patrzeć może na nią okiem postrzegacza, stanowi obraz wielki i majestatyczny.

Dotknięci plagą wszysey są lepsi, pokora wstępuje w serea, nieznie nieości przenika człowieka, dusza jego podnosi się, świat maleje. Wiem to, że nigdy ludzie moralnie piękniej mi się nie wydali, jak wśród téj klęski, która ich podnosiła nad ziemską pospolitą troskę: kościoły były pełne, miłosierdzie czynne, rozpacz nawet ciecha, a choć egoizm i tu szpecił widok, było i poświęceń wiele, które zań płaciły sowicie. U ludu

fatalizm przemagał wszędzie i przekonać się było łatwo, jak on dotąd mało w gruncie chrześcijański.

Moje obowiązki nie dawały mi spocząć, jako lekarz winicnem był nie schodzić z placu do ostatka.

Choroba ekonomowej w drugiej wsi za stawem wypędziła mnie nocą dla ratunku, od godziny krzataliśmy się przy niej bezskutecznie, gdy kozak dworski przyleciał zdyszany dając mi wiedzieć, że ktoś we dworze zachorował, a hrabina rozkazywała mi natychmiast powracać.

Znając jej bojaźliwość, łatwom pojął jaki ją przestрах paniczny ogarnąć musiał, zostawiłem więc cyrulikowi przepisy, a sam pośpieszyłem nazad do pałacu. Zastałem tu niewyrażony popłoch, wszystko co żyło na nogach, Hrabinę w kaplicy, kwarantannę, drugą na dziedzińcu oddzielającą część budowli, pokoje oświecone i trzech ludzi na koniach po innych lekarzy.

Zasłabła była pani Voyou, około której dotąd niemka tylko chodziła i służąca, gdyż hrabina sama i jej córka cofnęły się z Lucyą do przeciwległego skrzydła pałacowego.

Gdy uadjechał symptomata cholery były już rozwinięte a środki użyte nie pomagały— przyczyną choroby był ogórek, który francuzka narpała się zjeść przy obiedzie.

Zdawało mi się, że tu przy chorąg powinien być znaleźć Lucyą i byłaby przy niej, gdyby nie zakaz hrabiniej, która natychmiast ze swoim dworem oddzieliła się całkowicie.

Około północy, gdy nie nie pomagało, a rozstawione po korytarzach posły dały o tém znać samą pani, na usilne prośby i zaklęcia Lucyi dozwolono jej przybyć nam w pomoc do chorąg. Była to prawdziwa siostra miłosierdzia i dopóki ją tylko milczącą i cichą widywałem z dala w salonie nie mogłem jej ocenić— tu dopiero czynną zajaśniała mi w całym blasku. Ani obawy żadnej, ani ostrożności, ani myśli o sobie, żadnego zwrotu ku niebezpieczeństwu, żadnej idei o zachowaniu swąg godności— była sługą, pomocnicą, stróżem, a pojmowała każde wejrzenie i skinienie. Szczęściem dla nas przybyła, gdyż bez niej, mimo całych starań moich, ja sam z cyrulikiem, gdy cały dwór żeński hrabiniej uciekł z placu nie byłbym nie dokazał. Po jej

przyjściu przy ciągłym rozgrzewaniu— boleści się uśmierzyły, ciało poczęło ocieplać i francuzka mogła usnąć, co było najlepszym znakiem, że się natura obroniła napaści. Nad rankiem padłem sam znużony w fotel przy łóżku i sen mną o-
władnął... ona czuwała za wszystkimi.

Przebudziłem się gdy świtało i ujrzałem panię Voyou z twarzą rozognioną już, rumianą, ale obok w krześle Lucya siedziała jak trup blada i widocznie cierpiąca... zielona ta białość zwiastowała chorobę, ale wierna stróżnica choroby, tajiła boleść swoją i przemagała ją siłą ducha, nie chcąc nikogo trwożyć, ani mnie przebudzić.

Dla mnie nie było już wątpliwości!— pobiegłem ku niej jak oszalały i zmusiłem ją, udając złe spokojność, do położenia się w łóżko, czyniąc co tylko było można, aby zapobiedz rozwinięciu choroby.

Na rękach już musieliśmy, osłabłą nagle, zanieść do jej pokoiku. Po symptomatach wzmagających się gwałtownie poznałem grożące niebezpieczeństwo; twarz odmieniła się straszliwie

i boleści musiały być okropne, ale chora nie wydała krzyku, nie zawołała ratunku,— dusza jej nawet w ostateczném tém cierpieniu była panią, modliła się szybko, żywo i przygotowywała na śmierć.

W tejże chwili rozesłałem po lekarzy, napisałem do Halma i do dwóch innych nie ufając sobie, bo mi się zawracało w głowie; co tylko miałem w sobie energii, umiejętności, siły, wszystko obróciłem na jej ocalenie. Ale Bóg wcześniej naznaczył ją piętnem wybranych swoich i chciał jej dać śmierć męczeńską jako nagrodę za życie poświęcen. Przy jej łóżu doświadczyłem co to jest bezsilność ludzka, czém umiętność nasza, co może nauka i jakim my prochem jesteśmy. Jak szalony rzucałem się do wszystkiego co tylko na myśl mi przyszło, nie straciłem chwili, sekundy, wymodliłem pomoc kilku sług do niej przywiązanych, ale choroba naigrawała się z nauki, pracy, starań, nawet z modlitwy.

Jedno tylko przedłużenie jej męczarni dawało promyk jakiś nadziei, ale nazajutrz, powtórzył się atak i z niego rozwinął tyfus.

Zdawało mi się, że jakkolwiek straszliwą jest

ta choroba, zwłaszcza, gdy po wycieńczeniu cholery przychodzi— nie jest jednak nie do wyleczenia, byłem na drodze znajomszej, sądziłem, że coś poradzić potrafię, powitałem ją jak zbawcę. Kilka dni spędziłem nieprzytomny u jej łoża między przerażeniem i nadzieją— i doczekałem tylko końca wszelkiej nadziei i pierwszej w życiu rozpacz.

Na łożu boleści dopiero poznajesz człowieka, tu on odkrywa co ma głęb jego duszy, wiarę lub zwątpienie, tchórzliwe przywiązanie do życia, bojaźń dziecinna i wszystko złe, które tał. Ta istota dotrwała, nawet nieprzytomna, jaką była w krótkim swym życiu, z rezygnacją anielską, z pobożnością, cierpliwością i słodyczą. Ani słowem jednem nie zaprzeczyła sobie: umarła jak żyła, czystą i wielką, pojednaną z Bogiem, z uśmiechem mimo męczarni. Na chwilę przed skonaniem powróciła jej przytomność, trochę siły, mowa, ale już czuła śmierć nadchodzącą, obróciła się ku mnie i chciała mi podziękować za starania, jakieśmy około niej mieli, zdjęła mały pierścionek z turkusem z wyschlęj rączki i oddała mi go z anielskim uśmiechem.

—Miałem go od ojca, rzekła, jeśli się nie obawiasz przyjm na pamiątkę odemnie ty coś mi rodziców zastąpił... niechaj ci siostrę przypomni, która się modlić będzie za ciebie. Muie nie potrzebne było żyć, ja wolę umierać...

I martwą już prawie ręką sehwywszy dłoń moją, ze łzami w oczach modląc się skonała.

Nie wiem co się ze mną potem stało, bom nie rychło oprzytomniał, znalazłem się w swoim pokoju na łóżku sam jeden, z uczuciem jakby się życie moje skończyło i świat zamknął na zawsze... Od pierwszej chwili powrotu do siebie powiedziałem sobie że lekarzem nie będę, że nauka jest czezą, a przyszłość nie mi na ziemi dać nie może.

Któs tam zachorzał we dworze i przybiegli do mnie, alem rozdarł mój patent lekarza i odpowiedziałem im, że nie jestem nim więcej, porwałem kij i wyszedłem piechotą nie wiedząc gdzie mnie oczy poniosą. Sam nie wiem jak się znalazłem w kościele o mil kilka od tego miejsca i tu u ołtarza wyrzekłem ślub wiekuisty przywdziania sukni sług Bożych.

Umysł mój i serce potrzebowały się poddać

pod rząd cudzy, bo sobie panować nie mogły, bezsilny, złamany, musiałem wyrzec się woli i kierunku, i to dla mnie było zbawiennem.

Oto smutna historia— dodał Serapion, kończąc— mojego życia i odmiany stanu, a dziś, gdy na los mój pierwszy spoglądam, gdy porównywan dwie początkowe drogi moje i ostatnią, dziękuję Bogu, że mnie poprowadził przez cierpienie ku sobie. Przebyłem walkę, przeżyłem nadzieję, największą boleść, jaką może doznać serce i przed sobą mam już tylko jedną przyszłość sługi Bożego, który nie mając własnej woli, spełnia tylko rozkazy pana. Twarz moja pogodna, serce spokojne, nie nie pragnę tylko pozostać w tym stanie ducha w jakim jestem. Nie obawiam się niczego prócz braku siły na spełnienie obowiązku.

Uśmiechniecie się może, że rozpacz taka poprowadziła mnie na drogę, którą bym był powinien obrać inaczej, ale któż zbada wolę Bożą dla czego tak, a nie inaczej to czyni co czyni z ludźmi? dla czego jednych drzwiami, drugich wyłomem wprowadza do świątyni i pęłzać im każe ku światłości?

Dzisiaj jestem proboszczem małej parafii w głębinie lasów i puszczy położonej, a składającej się z ubogiej szlachty i ludu; dawne moje powołanie lekarza jest mi tu pomocą wielką, bo doktora nie mamy, a ja zastępuję lekarza duszy i ciała... Pracę mam niezmierną i za nią dziękuję Bogu, bo ona mnie trzyma dniem i nocą na czuwaniu... W tej chwili nawet, gdy przypuszczę, że mnie tam może mój ludźk potrzebuje, on co nie ma nikogo— wyrzucam sobie, że tu przyszedł związany słowem danym w młodości, tylko dla własnej przyjemności mojej.

Wszyscy umilkli, nawet Longin przestał się uśmiechać szydersko, i gdy Serapion skończył, była długa chwila milczenia, świadcząca, że proste jego opowiadanie na wszystkich zrobiło wrażenie głębokie. Cyryll wstał i uścisnął go cicho, a łza prędko otarta, potoczyła mu się z oczów.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.





Biblioteka Raczyńskich

JK 1194



JK1194

Niektóre Dzieła

wydane nakładem i drukiem Księgarni pod firmą

Józefa Zawadzkiego, w Wilnie.



Wybór najciekawszych Podróży i Odkryć w różnych częściach świata, dla nianki i zabawy młodzieży. 6 tomów z Rycinami na stali. 12.
Gawędy i Rymy Ulotne Władysława Syrokomli. Oddział 3-ci. in 16.
Dwa Światy. Powieść przez J. I. Kraszewskiego. 4 tomy we 2-ch. 12. 18. 6.

Garbaty. Powieść przez Józefa Korzeniowskiego. 3 tomy in 12.

Podania Litewskie. Serya Drużna. Z gęsta z Milanowa Milanowski Przez Ignacego Chodźkę. in 12.

Wspomnienia z Podróży do Syberyi. Wybytu w Białymostku i w Saratowie, wydane przez Józefa Feliksa. 3 tomy.

Nowe Wędrowki Oryginala. Z rękopismu nieznanego Autora, przez Józefa Korzeniowskiego. 2 tomy in 12.

Wędrowki Oryginala, z rękopismu nieznanego Autora. Przez Józefa Korzeniowskiego. Powieść nowa nader interesująca z życia Warszawskiego, w jednym tomie. Wydanie drugie poprawione.

Rachunki Podskarbstwa Litewskiego 1648—1652. Wydane z rękopismu z XIX-wiecznego rękopismu, znajdującego się w Bibliotece Eustachego Hr. Tyшкевича. in 12mo.

Zagon Rodzinny. Zbiór Obrazków, Gawęd i Fraszek rymowanych i nierymowanych, przez Adama Płuckiego. 3 tomy in 12.

Wleczornice. Powieści. Charaktery, Życiorysy i Podróż, zebrane przez Ludwika Siemickiego. 3 tomy in 12.

Opowiadania i Powieści: Ciepłota, Kachucha, Włodzimierza Wolskiego.

Małe a prawdziwe Opowiadania przez Autorkę w Imię Boże! 12. 1857.

Głos dżyny. Zbiór Nabożeństwa Katolickiego miążący w sobie: Kilka sposobów słuchania Mowy świętej, Nabożeństwo na Wielki Tydzień, Nabożeństwo do Trójcy Przenajświętszej, do Najświętszej Maryi Panny, do Świętych Aniołów Błogosławionych, Nowenna o śmierci, sześć liw, Modlitwy na główne uroczystości roczne, oraz Pieśni Kościelne. Wydanie nowe poprawne i pomnożone. in. 16. Wilno 1857.

Jerzy Cuvier i jego prace, przez P. Fluriego. Dzieło obejmujące historię i teorię Naturalnej Zwierząt, czyli Zoologii, Anatomji Pożywienia, Ranki o początkach kopalnych zwierząt, początki pierwiastków Paleontologii, Osteologii, tudzież Historji Naturalnej filozofii. Przełożył z francuskiego Gustaw Belke. in 8vo.

Stara panna, przez Kazimierza Bujnickiego. Powieść apokryficzna. in 12. Wilno 1857.

Młody Mąż. Komedia we 3-ch Aktach, wierszem — Gentile Bellini. Obraz dramatyczny, przez Józefa Korzeniowskiego. 12. 1857.

Mozalka Kontraktowa. Pamiętnik z Roku 1851. Przez Alexandra Orłowa. 16. 1857.

